

ZWIASTUN EWANGELICZNY



przy współudziale ks. pastora Schoeneicha w Lublinie redagowany przez ks. pastora Burschego w Warszawie.

Warszawa, dnia 2 (15) stycznia 1904 r.

Zwiastun Ewangeliczny wychodzi 15 dnia każdego miesiąca. **Przedpłata** wynosi rocznie w Warszawie rb. 1 kop. 50; z przesyłką pocztową w kraju rb. 2; w Austrii 5 kor. 50 hal.; w Niemczech 4 m. 50 f. Dziesięć egzemplarzy pod jednym adresem rb. 15. Ogłoszenia po kop. 10 od wiersza. Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje **Skład główny**: księgarnia W. Mietkego w Warszawie, Elektoralna Nr. 30. Prenumerować można też u redaktora pod adresem ks. pastor Bursche w Warszawie, Królewska Nr. 19.

T R E Ś Ć :

Z początkiem roku. — Prawdziwa różnica między protestantyzmem a katolicyzmem (dalszy ciąg). — John Wesley. — Stosunki religijne w Japonii. — Korespondencja z Ameryki. — Mały dobosz; opowiadanie. — Z prasy. — Wiadomości z kościoła i ze świata. — Ofiary. — Nabożeństwa. — Odpowiedzi redakcji. — Ogłoszenia.

Nakładem „Zwiastuna“ wyszły **pierwszy i drugi tom**

Historji reformacji w Polsce

hr. Walerjana Krasińskiego.

Cena po **rb. 1** za tom dla prenumeratorów „Zwiastuna“, odbierających dzieło to w księgarni W. Mietkego;

po **rb. 1 kop. 25** — cena księgarska w Warszawie;

po **rb. 1 kop. 30** — dla prenumeratorów „Zwiastuna“ z przesyłką pocztą.

Okłádki do oprawy Historji reformacji po 50 kop.

Z początkiem roku.

Psalm 90, 1: „Panie, Tyś ucieczką naszą!“

Które słowo jest najkrótsze a które najdłuższe? — takie pytanie raz u jednego zadał pewien starzec siwowłosy na zebraniu sylwestrowem.

Poczęto zgadywać, rozmaite posypały się domysły, ale nikt z całego zgromadzenia nie potrafił rozwiązać zagadki w pytaniu tem zawartej. Wreszcie starzec sam dał odpowiedź. Rzekł on: Najkrótsze słowo to „czas“ a najdłuższe — „wieczność.“

Tak jest w istocie. Trzy dźwięki są zawarte w wyrazie „czas“, i trzy w pojęciu tem skupiają się momenty: przeszłość, przyszłość i teraźniejszość. Przy Nowym Roku oko spogląda przedewszystkiem w przeszłość, na rok ubiegły, który leży za nami. Jakże prędko on minął, jakże szybko upływają dni nasze! Jako sen, jako chwila krótka leży za nami przeszłość cała. A przed nami zarysowują się kontury przyszłości, pełnej mroku i tajemniczości: nie wiemy, co nam przyniesie chwila następna, nie wiemy, czy krócej czy dłużej przyjdzie nam bytować tu na ziemi. Św. Jakób ma słuszość, gdy twierdzi: „Cóż jest żywot nasz? para, która się na krótko pokazuje a potem niknie.“ „Zaprawdę—mówi psalmista—szczerą marnością jest wszelki człowiek, choć najdłuższy!“ Tylko teraźniejszość jest naszą własnością. Ale wszak to chwila tylko jedna, która na okamgnienie z zamglonej wyłania się przeszłości i wnet tonie w morzu przeszłości. I choćbyś całą siłą duszy pragnął zatrzymać tę teraźniejszość, gdy jest dla cię radosna i promienna, próżne okażą się twoje usiłowania. Bieży pędem niepowstrzymanym czas, ucieka przed nami, porywa nas ze sobą. Zaprawdę, „czas“—najkrótsze to słowo.

Najdłuższe zaś—to „wieczność.“

Baśń stara opowiada, że do pewnej góry djamentowej co tysiąc lat przylatuje ptaszek, aby dziobek na niej ostrzyć. Gdy góra cała będzie starta, wtedy ponoć pierwsza upłynęła sekunda wieczności. Wieczność!—Jakież to nieuchwytnie pojęcie, jakąż grozą przejmuje człeka śmiertelnego! Dlatego też woła pieśniarz natchniony:

Wieczności, jakież gromy ślesz!
O mieczu, co me wnętrze tniesz,
Początku bez skończenia!
O czasie, co bez czasu trwa,
Przejęty trwogą, nie wiem ja,
Gdzie szukać pocieszenia.
Ze strachu serce we mnie drży,
Drętwieje w uścich język mi!“

A jeżeli kiedykolwiek, to szczególnie z początkiem roku cały bezmiar pojęcia „wieczność“ żywo staje przed oczyma naszej duszy. Boć co głosi nam początek roku nowego? Woła na nas głosem gromkim: Mija dzień za dniem, rok za rokiem, minie życie twoje, nadejdzie śmierci dzień, minie „czas“, nadejdzie „wieczność.“ A ona czem dla ciebie będzie? Człowiecze marny, chwilę tylko na ziemi bytujący, czyż nie powinienesz szukać karimi wiecznej, dążyć do życia nieprzemijającego? Gdy wszystko zanika, zbierz siły, zbuduj sobie dom na wieki trwający, nie zamek na lodzie lub fantastycznie w powietrzu zawieszony, lecz—w niebiesiech mieszkanie. Gdy tu wszystko zamiera, spróbuj i uwierz w życie, którego czas zniszczyć nie zdoła. Gdy tu wszystko ucieka, a naj-

szybciej wyraz najkrótszy „czas,” uchwycić się słowa najdłuższego — „wieczności.” Gdy lęk cię ogarnia, ucz się wołać słowami psalmu: „*Panie, Tyś ucieczką naszą!*” Wtedy będziesz miał **pewność wśród niepewności.**

Niepewność mieszka w sercach naszych na początku roku nowego. Mamy, naturalnie, na myśli ludzi myślących. Wiemy bowiem aż nadto dobrze, że są ludzie, którzy gotowi zawołać: Jakaż różnica między dniem dzisiejszym, a porankiem jutrzejszym, który, jak zwykle, wstanie spowity w mgłach porannych? Bywają i tacy, którzy wogóle nie lubią zastanawiać się nad sobą, którzy, przeciwnie, pragną rozproszyć poważny nastrój myśli, który, bądź co bądź, na początku roku nowego mimowoli budzi się w ich duszy. Zostawmy tych ludzi lekkiego serca a płytkiego umysłu! Dla nas rok nowy przynosi godzinę obrachunku.

Gdy okiem rzucimy wokoło siebie, cóż zobaczymy? Oto bez miary w czasach naszych jest zjawisk trwogą przejmujących. Kotłuje się w świecie, rozrastają się przeciwieństwa i namietności, zaostrzają się stosunki pomiędzy ludźmi. Zda się, że moce ciemności wypełzają z nor swoich, gotując się do ataku na istniejący porządek rzeczy. Na każdym kroku podjudzanie do czynów niecných. Sprzeczność zdań i interesów. Burze miotają sercami ludzkiemi. Kto uważnie patrzeć potrafi, bez wątpienia dostrzeże, że gotuje się zmiana radykalna stosunków społecznych. Żyjemy w czasie, z którego wykwiła nowy czas. Przebywamy okres bólów przedporodowych. A z chaosu, wśród którego żyjemy, cóż się wyłoni? Czy nowe, lepsze porządki? czy też nastąpi przewrót, który zgotuje grób wszelkiemu łaadowi?

W tej walce bierze też udział kościół Chrystusów. Bezbożność i przewrotność zewsząd nacierają nań z mocą i przebiegłością chytrą. A nasz kościół ewangelicki, nie stroniący od prądów społeczeństwa nurtujących, lecz, przeciwnie, śmiało stający z nimi do walki, najgroźniejsze musi wytrzymywać ataki. Precz z nim! — woła niewiara. Nie zdątny on do niczego, boć wykazał nieudolność swą, gdyż rozdarty w sobie, nie ma jednolitego autorytetu — wołają katolicy. Jest on kamieniem obrażenia dla wszystkich, z prawicy i z lewicy. Czy się ostanie?...

I samolubstwo rozplenia się na świecie, do niebywałych dochodząc rozmiarów. Powstają warstwy jedne przeciwko drugim. Głuche szemranie u dołu, niekiedy bunt otwarty. Przesyt i pesymizm u góry. Obojętność na odwieczne prawdy Boże z jednej i drugiej strony. Nie dziw, że ludy stają przeciw sobie w rymsztunku bojowym. Ustawicznie zbierają się chmury wojenne, burzą brzemienne. Nigdzie równowagi sił, nigdzie harmonijnego zespołu pracy politycznej i społecznej.

Niewesołą spuściznę pozostawia po sobie rok 1903 dla swego następcy. **Niepewność!**

Cudnie brzmi psalm natchniony: „*Panie, Tyś ucieczką naszą!*” Ze słowem tem **pewność** wstępuje w serca chrześcijan wierzących. Jako hejnał, do pracy, do otuchy, do życia słowo to nawołuje.

Potężna to pewność! Z czemu ją przyrównać można? Ze słońcem promiennem chyba, rozpędzającym mroki w najciemniejszej nawet dolinie? Zaiste, w czyjem sercu pewność ta mieszka, tam pierzcha ciemnia nocna.

Albo do źródła ożywczego, u którego gasi pragnienie człowiek uznojony? Zaiste, w sercu czyjem pewność ta mieszka, tam pokój radosny. Albo do potężnego organów tonu, do śpiewu nas porywającego. Zaiste, w sercu czyjem ta pewność mieszka, tam dziękczynienie, tam uwielbienie!

Pewien mędrzec grecki mawiał: dajcie mi punkt poza ziemią, a świat z podstaw poruszę. Oto jest ten punkt wieczny, siłę niezmierzoną w sobie zawierający: „Panie, Tyś ucieczką naszą!”

A skrzydła, które doń się wznoszą, to wiara. Wiara daje pewność. W wierze tej rozpoczęliśmy rok nowy, rok pracy nowej, rok nowego znoju, nowych trosk, nowych kłopotów i utrapień,... ale zarazem rok nowych tysiącznych dowodów starodawnej łaski Bożej, która w Chrystusie naszym stała się udziałem.

„Panie, Tyś ucieczką naszą!” — Pewność wśród niepewności.

Prawdziwa różnica między protestantyzmem a katolicyzmem.

Napisał ks. E. Holtz.

(Dalszy ciąg).

III. O usprawiedliwieniu człowieka i o dobrych uczynkach.

Łatwo zrozumieć, że głęboka różnica, jaka zachodzi między wyznaniem ewangelickiem i katolickiem w nauce o stanie człowieka po upadku w grzech, pociąga za sobą z konieczności takąż różnicę w nauce o usprawiedliwieniu grzesznego człowieka. Kto naucza, że przez grzech pierworodny człowiek nie właściwie ze swojej istoty nie stracił i wolnej woli do dobrego się nie pozbawił, co więcej, że wrodzona skłonność do złego nie jest grzechem, ten będzie też twierdził, że usprawiedliwienie przed Bogiem jest zależne od woli człowieka, od jego uczynków, słowem, że usprawiedliwienie jest owocem zasługi człowieka, jak to zupełnie konsekwentnie przeprowadził czysty pelagjanizm. Kto zaś przeciwnie, polegając na jasnej nauce Słowa Bożego i w pokorze zbadawszy serce swoje, poznał, że z natury skłonny jest do złego, że serce jego dalekie jest od Boga, że więc człowiek sam z siebie do Boga nawrócić się nie może,—ten zrozumie, że usprawiedliwienie grzesznika może być tylko dziełem łaski Bożej, nigdy zaś zasługi nieudolnego człowieka, czyli, że człowiek zostaje usprawiedliwiony darmo, z łaski, przez odkupienie, które się stało w Jezusie Chrystusie, jedynie przez wiarę, nigdy zaś przez uczynki (Rzym. 3, 24. 28; 9, 16; 11, 6; Gal. 2, 16). „Łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie z was, Boży to dar; nie z uczynków, aby się kto nie chlubił“ (Efez. 2, 8. 9).

Inna zupełnie jest nauka katolicka. Wolna wola, uczy kościół katolicki, jest, co prawda, nieco osłabiona, lecz Bóg obdarza człowieka w chrzcie świętym łaską „poprzedzającą,” a przyjęcie jej już stanowi zasługę (meritum de congruo), którą Bóg nagradza wyższą łaską; przy-

jęcie tej ostatniej stanowi nową wyższą zasługę (*meritum de condigno*), przez którą sobie człowiek przy pomocy rozlicznych dobrych uczynków i pokut wysługuje wieczne zbawienie. Usprawiedliwienie jest zatem poświęceniem człowieka, gdyż łaska weń wlewa stopniowo wyższe boskie siły, przez co człowiek się staje w rzeczywistości sprawiedliwym¹⁾. Dopiero takiego sprawiedliwego człowieka Bóg może usprawiedliwić. Na tej ziemi nikt jeszcze wiedzieć nie może, czy jest usprawiedliwiony, czy nie. Stąd niepewność dla każdego katolika, czy będzie zbawiony, czy potępiony²⁾. Lecz pomimo tego żaden katolik obawiać się nie potrzebuje, jeżeli tylko wierzy w to, co mu kościół wierzyć każe, bierze udział w sakramentach i zostaje posłuszny przepisom hierarchji. Wiara nie usprawiedliwia, gdyż ona jest tylko przyzwoleniem na objawione prawdy, t. j. dogmaty kościoła, więc funkcją *umysłową*, nie posiadającą jeszcze cechy cnoty (*fides informis*); cnotą i zasługą staje się ona dopiero przez miłość (*fides caritate formata*³⁾), uzdalniającą człowieka do uczynków „porządku nadprzyrodzonego.“ Stąd nauka rzymskiego kościoła, że człowiek zostaje usprawiedliwiony przez wiarę i *uczynki*. Przez jakie dobre uczynki? Nie tyle przez wypełnianie zwykłych obowiązków moralnych, jak przez spełnienie zalecanych przez kościół tak zwanych rad ewangelicznych i innych poleceń kościelnych: przez modlitwę, post, jałmużnę, słuchanie mszy, powtarzanie pacierzy, niejadanie mięsa w piątki, spowiedź ustną raz do roku, pielgrzymowanie do miejsc świętych, obdarzanie ofiarami klasztorów i kościołów, ofiarowanie świętopietrza i t. p. aż do ślubów klasztornych (ubóstwo, czystość i posłuszeństwo). Drogą takich uczynków człowiek może dojść do doskonałości, a nawet do takiego stopnia świętości, że spełnia więcej dobrych uczynków, aniżeli potrzeba do zbawienia (!)—tak zwane „uczynki nadpłaty“ (*opera supererogationis*)—i może się stać wprost świętym.

Ta nauka, wyrosła na tle szerzącego się coraz więcej w średnich wiekach semipelagianizmu, zawierała w sobie dwojakie niebezpieczeństwo. Zgoła niebiblijne pojęcie o *wierze*, jako funkcji umysłowej, przyzwalającej na dogmaty kościelne, powodowało niebezpieczeństwo martwej prawowierności; a obok tego nauka o dobrych uczynkach, przez które sobie można niebo *wysłużyć* — a w rzędzie których wychwalano najbardziej takie, które mogą być spełnione zupełnie zewnątrz, bez głębszego poczucia religijnego,—musiała zabijać sumienia. Dość wcześnie już spostrzeżono niebezpieczeństwo takiego zdemoralizowania serc chrześcijańskich. Na synodzie w Cloveshoe w r. 747 mówiono o pewnym bogaczu, który żądał prędkiej absolucji za jakiś czyn haniebny i powoływał się na to, iż tylu innym już kazał za siebie odśpiewywać

¹⁾ „Justificatio non est sola peccatorum remissio, sed et sanctificatio et renovatio interioris hominis *per voluntariam susceptionem gratiae et donorum*, unde homo ex injusto fit *justus*.“ Conc. Trid. Sessio VI. c. 7.

²⁾ ... „dum nullus scire valeat certitudine fidei, cui non potest subesse falsum, se gratiam Dei esse assecutum.“ Sess. VI. c. 9. „Si quis dixerit, omni homini ad remissionem peccatorum assequendam necessarium esse, ut credat certo et absque ulla hæsitatione propriae infirmitatis et indispositionis, peccata sibi esse remissa, anathema sit.“

³⁾ Cat. Roman. P. I. c. I. 1: „(fidei) vi assentimus iis, quæ tradita sunt divinitus.“ Thom. Aq. II. 2. qu. 4. art. 5: „... fides formata est virtus, fides autem informis non est virtus.“

psalmy i za siebie pościć, że dostatecznie zań zadość uczyniono, choćby miał żyć jeszcze 300 lat! Synod orzekł, że jeżeliby zamożni w taki sposób mogli zadość czynić sprawiedliwości Bożej, przez uczynki innych osób, to jakżeby Chrystus mógł powiedzieć, że dla bogatych trudno wejść do królestwa Bożego ¹⁾). Z czasem jednak podobne wątpliwości coraz więcej znikały, na pojedyncze, powstające przeciwko tej nauce głosy nie zwracano uwagi, ²⁾) nauka scholastyczna ujęła wszystkie te błędy w jeden wielki system, a lud z jednej strony przesiąkł przekonaniem, że, niezależnie od sposobu myślenia i kierunku serca, niebo uzyskać można przez zewnętrzne *uczynki* a uwolnić się od mąk na tamtym świecie przez kupione za pieniądze odpusty, z drugiej zaś zaczął pod jarzmem gniotących go gróźb, ustaw, przepisów i energicznych „rad“ hierarchicznych, aż wypływające z owego systemu nadużycia i zgrzeszenia dosięgły owych smutnych rozmiarów, którym nareszcie dla wielu milionów chrześcijan kres położyła reformacja. Jej dziejowem zadaniem i najcenniejszem jej owocem było obdarzenie strwożonego serca chrześcijańskiego pocieszającą ewangelją o *usprawiedliwieniu grzesznika z łaski przez wiarę*, dawno ludowi Bożemu z niezrównaną jasnością w Piśmie św. objawioną, lecz należycie nie ocenioną, z czasem zapomnianą i zawaloną miałem ludzkich wymysłów i błędów. Nie była to nauka nowa, lecz starodawna wiara pierwszego chrześcijaństwa, jak to później wykazemy; nową była tylko biblijna jej czystość i dogmatyczna ścisłość i dokładność, z którą kościół ewangelicki ją rozwinął.

Krótkim wyrazem ewangelicznej nauki o usprawiedliwieniu jest art. IV Konfesji augsburskiej, który opiewa: „Nauczamy, że człowiek z własnych sił, zasług i uczynków swoich przed Bogiem usprawiedliwić się nie może, ale że z łaski Bożej, dla Chrystusa, przez wiarę bywa usprawiedliwiony, jeżeli wierzy, że Chrystus za nas cierpiał i że dla Chrystusa grzechy nam są odpuszczone a sprawiedliwość i żywot wieczny darowane. Tę wiarę nam Bóg za sprawiedliwość przed Sobą poczyta.“

Różnica pomiędzy nauką ewangelicką i katolicką o usprawiedliwieniu jest przeto następująca. W nauce ewangelickiej: usprawiedliwienie darmo, z łaski, dla zasługi Chrystusa grzesznikowi darmo darowane, a zatem wyłączone dzieło Boga. W nauce katolickiej: usprawiedliwienie — wspólne to dzieło łaski Bożej i wolnej woli człowieka, i to w tem znaczeniu, że sobie człowiek tę *łaskę* dopiero *wystuguje*, poczem go Bóg dopiero może usprawiedliwić, a zatem w gruncie rzeczy dzieło człowieka. W nauce ewangelickiej wszystko się opiera na niezmierzonej łasce i zadośćuczynieniu Baranka Bożego, które jest jedynym podmiotowym gruntem usprawiedliwienia grzesznika; w nauce katolickiej, obok zasługi Chrystusa (z jawnym dla niej uszczerbkiem), stają zasługi człowieka. W nauce ewangelickiej pełna pociechy Boska ewan-

¹⁾ Syn. Cloveshov. c. 27.

²⁾ Tomasz Bradwardinus (Doctor profundus), arcybiskup w Canterbury, w swem dziele: *De causa Dei* oskarża cały świat katolicki przed sądem Bożym, że bieży za Pelagiuszem.

gelja, że Bóg miłosierny ulaskawia i dług darowuje nie będącemu w stanie wypłacalności dłużnikowi, t. j. winy mu odpuszcza¹⁾, tam—pobawiająca człowieka wszelkiej pewności usprawiedliwienia i zbawienia nauka o usprawiedliwieniu tegoż zbankrutowanego dłużnika przez zmuszenie go do zapłaty niezmiernego długu. Tu—w *wierze* nowy stosunek dziecięcego zaufania w miłosierdzie Ojca Pana naszego Jezusa Chrystusa i oddanie Mu się w serdecznej wdzięczności i w błogiej ufności, że drogo odkupionego dziecięcia Bożego „nic nie będzie mogło odłączyć od miłości Bożej, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym“²⁾; tam, pomimo wszelkich zasług, żadna pewność dostąpienia łaski Bożej, potem pewność conajmniej ognia czyścowego, bez żadnej zgola wiadomości, czy te męki czyścowe trwać będą dziesiątki, czy setki, czy też lat tysiące.

To są głębokie, przepastne różnice w nauce o usprawiedliwieniu, która jest centralną nauką chrześcijaństwa. Wszystkie inne dogmaty i nauki na niej albo się opierają albo ku niej zmierzają. Nauki o grzechu, o wierze, o wolnej woli, o łasce, o dobrych uczynkach, o zasłudze człowieka — wszystko to w ścisłej znajduje się łączności z nauką o usprawiedliwieniu. Słuszną przeto jest rzeczą, abyśmy przypatrzyli im się bliżej.

(D. c. n.)

John Wesley.

Kościół metodystów ze swymi 28 miljonami wyznawców należy obecnie do największych liczebnie kościołów ewangelickich. Aczkolwiek metodyści Ewangelię częstokroć tłómaczą błędnie, to sądzimy jednakże, że słuszną będzie rzeczą wznowić pamięć „ojca metodyzmu,“ Johna Wesleya, z okazji dwuchsetnej pamiątki przyjścia jego na świat.

Nie było wcale dążeniem Johna Wesleya założyć nowy kościół, on chciał tylko zaprowadzić misję wewnętrzną w kościele państwowym angielskim i dać początek ewangelizacji; to też aż do schyłku dni swoich pozostał członkiem ewangelickiego kościoła państwowego, nie myśląc zupełnie o tem, aby zeń wystąpić. Dopiero zwolennicy jego odłączyli się od tego kościoła, stając w opozycji do duchowieństwa, które nie chciało i nie umiało dać ludowi tej karmi duchowej, jakiej lud łaknął i żądał.

John Wesley, urodzony dnia 17 czerwca r. 1703, pochodził z pastorskiej rodziny. Ojciec jego, ksiądz angielskiego kościoła państwowego, wywierał na niego, zarówno jak i matka, wpływ wielce dodatni. Znamienny rys charakteru Johna Wesleya stanowi powaga, którą się odznaczał już jako młody student uniwersytetu w Oksfordzie. Brat jego Karol założył był tam stowarzyszenie, którego członkowie obowiązali się przystępować co miesiąc do komunji świętej, zachowywać regularne posty, czytać książki treści budującej, odwiedzać ubogich, chorych i uwięzionych, odbywać wspólne modlitwy, oraz wspierać się wz-

¹⁾ Ew. Mat 18, 23—27. ²⁾ Rzym. 8, 39.

jemu w dążeniu do osiągnięcia doskonałości. Wkrótce po zawiązaniu się tego stowarzyszenia przewodnictwem w niem spoczęło w rękach Johna. Tego rodzaju towarzystwa nie były w Anglii naówczas nowością; ponieważ jednak należący do tego koła młodzieńcy wyłączała się z otoczenia, więc rychło otrzymali nazwę „metodystów“, jako ludzie szukający zbawienia duszy specjalną „metodą.“ Chociaż szyderycy nie mieli słuszności, oczywistą jednakże jest rzeczą, że bracia Wesley wspólnie ze swoimi towarzyszami dążyli do sprawiedliwości z uczynków, którą apostoł Paweł tak surowo w listach swoich potępiał.

W r. 1734 John Wesley postanowił osiąść w Georgji, w Ameryce Północnej, aby tam głosić Słowo Boże kolonistom i indjanom. Pełen szlachetnego zapału, nie posiadał atoli wtedy jeszcze wiary iście ewangelicznej. Jak niedostateczna była jego wiara, o tem miał się przekonać w czasie podróży morskiej. Między podróżnymi było na okręcie kilku braci czeskich, a w ich liczbie Dawid Nitschmann. Podczas burzy morskiej nie opuszczał ich ani na chwilę głęboki spokój. „Nie boimy się śmierci, wszak pójdziemy do naszego Zbawiciela“ — mówili Bracia. Taka wiara gorąca, pewna swego zbawienia, i taka miłość do Chrystusa były dotąd Wesleyowi całkiem obce. W Ameryce także ich nie posiadał. Zapytany razu pewnego przez biskupa Spangenbergę, czy jest pewny, że dostąpi zbawienia, nie umiał dać mu na to stanowczej odpowiedzi. Złamany na duchu, powrócił do Anglii i przyznał się przyjaciółom: „Pojechałem do Ameryki, by nawracać indjan, ale któż mnie samego nawróci? bo moja religja to tylko mrzonka uludna.“ I tym razem doznał błogosławieństwa od braci czeskich, między nimi bowiem został nawrócony. Było to — jak sam opowiada — dnia 24 maja roku 1738 o godz. 8^{3/4} wieczorem, gdy na zebraniu czytano wstęp Lutera do listu do Rzymian. Słyszając o przemianie, jaką sprawuje w nas Bóg przez wiarę w Chrystusa, Wesley poczuł w sobie nagle ufność niezłomną do Zbawiciela i nabył pewności, że i jemu Odkupiciel odjął brzemień grzechu, że i jego zbawił. Stąd zrozumiałe są też pobudki, jakie skłoniły Wesleya do podróży po Niemczech w celu zaznajomienia się bliżej z braćmi czeskimi, z którymi w latach następnych utrzymywał dość bliskie stosunki.

Już w czasie tej podróży Wesley nabył rozgłosu człowieka dzwonnego, skutkiem czego wielu księży wzdragało się użyć mu swych kazalnicy. Ale właściwą działalność wędrownego kaznodziei Wesley rozpoczął dopiero później, pod wpływem swego przyjaciela z ławy uniwersyteckiej, Jerzego Whitefielda. Był to człowiek surowy, który w kazaniach swych ustawicznie nawoływał do pokuty, zaco wzbroniono mu wstępu na wszystkie kazalnice w okolicach Bristolu; lecz niezłomny w swych usiłowaniach, zaczął kazać pod gołym niebem. Tłumnie zbierali się dokoła niego robotnicy. Gdziekolwiek się zjawił, zbiegały się masy ludu, by posłuchać porywającego mowcy, który, korzystając ze sposobności, zbierał składki na dom sierot. On to przywołał na pomoc Wesleya, który w ciągu 9 miesięcy wygłosił 500 kazań, a w tej liczbie tylko 10 w kościele. Rychło atoli uwydatniła się różnica za-

chodząca między kazaniami Whitefielda i Wesleya. Podczas gdy Whitefield wzywał do pokuty, Wesley inną obrał drogę, aby budzić ludzi do życia religijnego. Pomny na własne doświadczenia, poczytywał on za ważny czynnik w życiu religijnem jednostki pokrzepienie przez obcowanie i przez wymianę myśli w gronie przyjaciół. W mniemaniu tem utwierdzały go spostrzeżenia, poczynione wśród braci czeskich. Biorąc sobie za wzór ich ustrój, oparty na podziale na klasy i oddziały, zakładał towarzystwa i urządzał dla nich domy zebrania, kierownictwo zaś zwykł był składać w ręce ludzi świeckich.

Znaglony koniecznością, Wesley wyświęcił w roku 1770 biskupa amerykańskiego. Krok ten równał się istotnie wystąpieniu z kościoła państwowego, było to zatem zdarzenie doniosłe, a w skutkach swoich dla metodyzmu oplakane. Odtąd bowiem metodyzm przestał już być kierunkiem myśli, dążącym do reformy w łonie angielskiego kościoła, a stał się natomiast zgromadzeniem sekciarzy, stojących poza kościołem. Takim sposobem przyszło do stanowczego rozłamu, do którego w znacznej mierze przyczynili się księża kościoła państwowego przez swą powściągliwość, ale jeszcze bardziej metodyści sami przez swe pojęcie o sprawiedliwości, opartej na uczynkach.

W życiu prywatnem Wesley zdobył sobie wysokie poważanie. Zawsze czynny, wstawał o 4-ej rano i pracował aż do późnego wieczora. Głosił Ewangelię przy każdej nadarzającej się sposobności, — czasem nawet w chwili nieodpowiedniej. Niestrudzony w swoich podróżyach, zajmował się sztuką i przyrodą, wydawał książki popularne treści przyrodniczej, historycznej i t. p., był jednym z założycieli angielskiej literatury ludowej. Istny zwiastun misji wewnętrznej, interesował się żywo sprawą wychowania i założył dom wychowawczy dla chłopców. Mąż, który niezliczone tłumy skłonił do pokuty i skruszył wiele serc zatwardziałych, musiał w pedagogice inne stosować metody; to też podwaliną nauki jego była Ewangelja, chociaż szablonowo niemal domagał się, aby każdy wiedział dzień i godzinę swego nawrócenia. Stawiając na pierwszym planie poświęcenie, nie przyznawał się wszelako, jak inni, do nauki o doskonałości.

Trzeba przyznać, że Anglja i Ameryka zawdzięczają wiele temu człowiekowi, który tak skutecznie budził życie religijne i przeprowadzał ewangelizację kościelną. Tysiące ludzi świeckich potrafił on zagrzać do pracy w winnicy Pańskiej, tłumom całym zaszczeniał pewnością zbawienia, masy niezliczone pobudzał do walki z grzechem. Praca miłosierdzia, znana dziś jako misja wewnętrzna, zapoczątkowana została w najróżnorodniejszych dziedzinach przez Wesleya albo jego uczniów. Dzisiaj kościół metodystów jest kościołem ludowym, więc szerokie warstwy, które obejmuje, nie odpowiadają tym wymaganiom doskonałości, jakie Wesley stawiał niegdyś członkom niewielkich kółek. Lecz nie należy lekceważyć błogosławieństwa, jakie z metodyzmu spłynęło na ludzkość. Nie podzielamy nauki metodystów o nawróceniu, przeciwnie, potępiamy ją, upatrując przejawy krańcowego spaczenia jej w „Armji zbawienia,” która przez hałaśliwe demonstracje dąży do natychmiastowego nawró-

cenia jednostek. Lecz o iście ewangelicznym duchu, jakim był przejęty „ojciec metodyzmu,” świadczy ten jego zapał, z jakim opowiadał Ewangelię ubogim, przyciągał członków zboru do pracy w królestwie Bożem, łączył wierzących w ścisłe kółka, wyznaczając im zadania na polu miłosierdzia.

Umarł w podeszłym już wieku, licząc bez mała 88 lat życia, dnia 2 marca 1791 r. Często mawiał on przed śmiercią: „Jestem największym grzesznikiem, lecz Chrystus umarł za mnie.“

Stosunki religijne w Japonji.

Od kilku miesięcy uwagę świata cywilizowanego pochłaniają wypadki na dalekim Wschodzie. Niebo Korei i Mandżurji zawlekły ciemne chmury, brzemienne grozą wojny. Każdy numer dzienników przynosi nam nietylko stopy telegramów sprawozdawczych z przebiegu rokowań dyplomacji, ale i rozliczne artykuły, pouczające nas o kulturze i stanie ekonomicznym i politycznym Japonji. My chcemy w tym numerze „Zwiastuna“ zaznajomić czytelników naszych o stosunkach religijnych w Japonji.

Jaki jest obecny stan religji w Japonji? Jak dalece przyjęło się tam chrześcijaństwo? Jaką przyszłość religijną ma przed sobą Japonja?

Czy japończycy są wogóle nabożni? Na takie pytanie niełatwo dać trafną odpowiedź. Turysta przelotnie zwiedzający Japonję spotyka liczne, częstokroć wspaniałe świątynie, a widząc ołtarze rozrzucone po kraju całym: przy drogach, w gajach, w ogrodach, sądzić może, że religja jest niepospolitej doniosłości czynnikiem w życiu narodu, który bóstwu tyle wznosi ofiarników. Lecz kto w czasie dłuższego pobytu w Japonji nieraz, nawet w dni świąt uroczystych, widział puste świątynie, kto poznał i zbadał sposób nabożeństwa japończyków, ich zabobonne wierzenia, ich systemy religijne, ten inne o religijności tego ludu powziąć musi zdanie.

Przytrafiają się wprawdzie i japończycy, szczerze sprawom religji oddani, którzy niewątpliwie na miano pobożnych zasługują. Nieraz też widzieć można kobiety rozmodlone w tak głębokiem skupieniu, iż trudno sobie wyobrazić modlitwę żarliwszą. Stoły ofiarne są nieraz zupełnie przykryte stosem drobnych pieniążków. Utrzymywanie świątyń wymaga wielkiego nakładu pieniędzy, a wciąż jeszcze budują się nowe świątynie. Lecz z drugiej znowu strony rzuca się ciągle w oczy martwe kapłaństwo, modlitwa warg, ślanianie się przed obrazami bogów, które widokiem swoim wzbudzają niekiedy obrzydzenie, czasem zaś wesołość. Europejczycy niełatwo przychodzi powstrzymać się od śmiechu na widok bożka bogactwa, uposażonego w brzuch ogromnych rozmiarów, po którym pieśczoćliwie głaskają go pobożni. Nie dziw przeto, że poważnie myślący ludzie skarżą się częstokroć na zupełną obojętność japończyków względem własnych religij zarówno jak względem zagadnień religijnych wogóle.

W Japonji istnieją cztery pokrewne sobie „religje,” które wykazują wiele punktów stycznych, zlewając się razem w jedno mgliste tło: szintoizm, buddaizm, konfucjanizm i tenrikjo. O chrześcijaństwie tymczasem mówić jeszcze nie będziemy.

Szintoizm i tenrikjo powstały w Japonji, buddaizm i konfucjanizm są to religje obce, pochodzenia chińskiego. Najmłodsza z tych religij, tenrikjo, wykazuje najmniejszą liczbę wyznawców. Szintoizm, buddaizm i konfucjanizm, są to trzy starożytne religje Japonji, które istnieją obok siebie już 1000 z górą lat. W ciągu tak długiego czasu zatarły się już w wielu względach różnice, zachodzące między nimi, zwłaszcza zaś w pojęciu ludu i w jego praktyce wykonywania obrządków. Nastąpiło takie pomieszanie pojęć, że religja ludu w istocie rzeczy od dawna już jest zlepkiem tamtych trzech religij: nauka o bogach wzięta jest z szintoizmu, nauka o zbawieniu zapożyczona od buddystów, a nauka o moralności zaczerpnięta z konfucjanizmu. Przynosząc ofiary przed różnymi ołtarzami i modląc się w różnych świątyniach, japończycy nie odczuwają zachodzącej w tem sprzeczności. Świątynie buddystów i szintoistów nie różnią się zbytnio między sobą, gdyż wiele urządzeń czysto buddaistycznych przeszło z biegiem czasu do świątyni szintoistów i odwrotnie, a częstokroć tą samą świątynią posługiwali się kolejno to jedni, to drudzy.

Pierwotną narodową religją japończyków jest od wieków *szintoizm*. Nazwa „szinto,” t. j. *droga bogów*, powstała dla odróżnienia od buddaizmu, który w połowie VI wieku przeniesiony został do Japonji.

Szintoizmu nie można właściwie nazwać religją, nie ma on bowiem ani ksiąg świętych, ani nauki o wierze, ani nauki o moralności; całą zaś treść jego stanowi ubóstwianie przyrody, przodków i domu cesarskiego. Niebo szintoizmu roi się bogami: jest tam bogini słońca, bóg księżyca, wiatru, morza, ognia, zarazy i t. d. Najwyższe bóstwo to bogini słońca, a bóg księżyca zajmuje pierwsze po niej miejsce. Od bogini słońca wywodzi się dynastja Mikada, bez przerwy od powstania państwa aż dotąd panująca w Japonji. Takim sposobem członkowie rodu cesarskiego są półbogami, a oddawanie im boskiej czci i służenie im to jedyny obowiązek, jaki szintoizm nakłada na swoich wyznawców. „Idź za wrodzonym swym popędem i przestrzegaj praw Mikada”—oto jest zebranie przykazań szintoizmu, który pozatem pozostawia ludziom całkowitą swobodę postępowania.

W związku z czcią oddawaną bogom i domowi cesarskiemu jest kult przodków, polegający na regularnem odwiedzaniu ich grobów, składaniu ofiar i na modlitwach. Widać z tego, że szintoizm uznaje życie pozagrobowe, chociaż nie poucza o tem, jakie jest to życie, nie mówiąc nic o istnieniu nieba i piekła. Szintoizm jest religją bez obrządków i świąt, ustanowionych dla ludu; kapłani jedynie mają obowiązek doglądać świątyni, otaczać staraniem posągi bogów i składać im na małych deseczkach ofiary z ryżu, wódki ryżowej, ryb, mięsa, jarzyn i owoców. Modlitwy kapłanów są to właściwie przemowy do bogów, a treścią ich—chwała bogów i prośby. Rodzice polecają nowonarodzone dziecię swe opiece bogów, a od dnia tego szintoista obowiązany jest raz do ro-

ku odwiedzić świątynię tego boga, który jest jego szczególnym opiekunem. Innej styczności z religją szintości nie mają. Przynosząc ofiary, kapłani wkładają odzienie, złożone z luźnej szaty i czarnej czapki z białą przepaską. Nic ich nie wyróżnia z pośród tłumu. Nie są związani żadną przysięgą. Ciemni i leniwi, mało doznają szacunku i sympatji.

Łatwo zrozumieć, dlaczego buddaizm, zjawiwszy się w Japonji w VI wieku, w krótkim czasie zrzucił wielkie spustoszenia w szeregach wyznawców szintoizmu: bogów szintoizmu przyjęła nowa religja do nieba swego, a świetne świątynie, okazałe obrządki i obchody religijne buddaizmu pozyskiwały mu liczne zastępy zwolenników, tak że wiele świątyń szinto przeszło na własność buddaizmu. Zdawało się, że szintoizm, straciwszy grunt pod nogami, istnieje już całkiem przestanie. Pędząc żywot suchotniczy, dotrwał on jednak do XVIII wieku. W tym czasie poczyniono próby, aby wlać nowe życie w skostniały organizm prastarej religji szinto. Podjęto usiłowania, aby uczynić rozdział między szintoizmem i buddaizmem, aby odnowić pierwotną religję szinto i zalecić ją ludziom jako prawdziwą. Uczyniono z niej religję państwową, ustanowiono do spraw religji szinto radę, która stoi na równi z radą państwa. Religja ma służyć państwu i dynastji, ma być narzędziem polityki wewnętrznej, bo też największe, a właściwie mówiąc, jedyne jej przykazanie brzmi: Bądź posłusznym cesarzowi! Oczywiście, że wobec tego szintoizm liczy teraz wielu wyznawców, zwłaszcza w wyższych warstwach społeczeństwa i między urzędnikami. Między ludem religja państwowa niewielu ma zwolenników i buddaizm liczebnie jest o wiele silniejszy.

Świątynie szinto odznaczają się niezmierną prostotą: są to budynki drewniane o wyniosłych daszkach, pokrytych korą drzewną, wnętrze zaś ich bynajmniej nie opływa w ozdoby. Z okazalszych świątyń najstynniejsza jest w Kjoto, dawnej stolicy cesarstwa, dorównywająca całkiem świątyniom Buddy pod względem przepychu. Świątynie szinto wznoszą się po większej części w gajach cedrowych albo dębowych, co się najwięcej przyczynia do ich uroku.

Buddaizm jest po dziś dzień najbardziej rozpowszechnioną i najpotężniejszą religją w Japonji.

Przez Koreję dostał się buddaizm w chińskiej formie do Japonji w VI stuleciu po N. Chr. Pana; pierwszą pagodę wzniesiono w Japonji w r. 584. Buddaizm znalazł dostęp do dworu cesarskiego, i nawet „potomkowie bogini słońca szinto,“ cesarze, byli buddystami. Od tej chwili buddaizm stał się najbardziej rozpowszechnioną religją w Japonji, a to jego panowanie trwało z górą 1000 lat. Z pierwszych czasów rozkwitu buddaizmu pochodzi wiele wspaniałych świątyń, które dotąd są istną ozdobą kraju. Koreańscy i chińscy mnisi przynosili do Japonji chińską kulturę, a dzieło ich prowadzili w dalszym ciągu ich japońscy następcy, którzy jeździli do Chin po naukę. Jak wielkim być musiał wpływ chińskiej literatury, widoczne z tego, że język chiński ma jeszcze teraz przewagę w Japonji jako język literacki.

Gdy chińczycy przeszczepili buddaizm do Japonji, minęło już było 1000 lat od chwili założenia tej religji. Przez ten czas „czysta na-

uka“ Buddy uległa już wielu zmianom i rozpadła się na liczne sekty, a na gruncie Japonji, zarówno jak w Chinach i w Indjach, przemiany te trwały w dalszym ciągu. Dziś nigdzie już nie znajdujemy buddaizmu w jego formie pierwotnej: wyzbył się on swej treści głębokiej, ześwietczał.

Nie od rzeczy będzie chyba wspomnieć na tem miejscu w krótkich słowach o buddaizmie i jego powstaniu. Założycielem jego był książę krwi królewskiej, Santama. Uprzykrzywszy sobie uciechy światowe, szukał on pokoju zbawienia w życiu pustelniczem, oddawszy się pod kierownictwo pobożnych pokutników i anachoretów. Po wielu latach takiego życia poświęconego modlitwie i rozmyślaniu, znalazł ukojenie przez poznanie tej wielkiej prawdy, że samolubna pożydlwość jest przyczyną wszystkich cierpień i całej niedoli życia ludzkiego. Kto, krocząc drogą prawdy, pozbywa się swych pożądań i trosk, pokonywa swoje samolubstwo, ten przezwycięża samego siebie i znajduje zbawienie. Kto nie szczędi wysiłków, aby się udoskonalic, ten w końcu osiąga cel zamierzony, t. j. dostępuje wybawienia, pograżając się w „Nirwanę.“ Słowo „Nirwana“, t. j. *wygaśnięcie*, oznacza w wielu miejscach świętych ksiąg Buddy taki stan, w którym „wygasły“ troski i żądze ludzkie, w innych miejscach atoli oznacza bytowanie pobożnych po śmierci doczesnej,—„błogie nic.“ Księgi święte nakazują być niezmordowanie czynnym, bynajmniej nie zalecają beczynnego skupienia. Nauka Buddy to ateizm: bogowie jego odarci są z bóstwa, bo i oni narówni z ludźmi przechodzą wędrówkę dusz i mogą się odrodzić jako ludzie albo zwierzęta. Wiara w istnienie bogów nie jest koniecznym warunkiem religji Buddy.

Ani w Chinach, ani w Japonji, ani nawet w ojczyźnie własnej, w Indjach, buddaizm nie mógł utrzymać się na tych niedościgłych wyżynach oderwanej od praktycznego życia filozofji. To też religja ta uległa wielu zmianom, a dziś istotę jej stanowi wiara w bogów, zabobony i gusła. Prawdę słów tych potwierdzają posągi Buddy, zwanego w Japonji „Dai butsu“, oraz wstretne podobizny innych bogów, sprawiające ohydne wrażenie. Co się tyczy w szczególe buddaizmu japońskiego, jest to w gruncie rzeczy ateizm połączony z wiara w wędrówkę dusz. Obrządki rytualne, ceremonje, ozdoby zewnętrzne przypominają wielce kościół katolicki. Przybyły w r. 1549 do Japonji pierwszy misjonarz chrześcijański, jezuita Franciszek Xavier, mógł rzec, że ujrzał tam kościół naśladowany przez diabła, na każdym bowiem kroku niemal spotykał dzwony, różańce, mnichów, hierarchję, a nawet coś w rodzaju duchownego monarchy.

Słusznie ktoś powiedział, że buddaizm był nauczycielem, w którego szkole wychował się naród japoński. W ciągu wieków całych spoczywały oświata i wychowanie w rękach buddystów. Buddyści byli krzewicielami sztuki i medycyny i oni stworzyli poezję dramatyczną, oni wywierali decydujący wpływ na sprawy polityki, ekonomji społecznej i na nauki. Tego wpływowego stanowiska nie stracił buddaizm nawet i przez to, że religję szinto ogłoszono za państwową, zbyt głęboko bowiem zapuścił on korzenie w narodzie, który się z nim zżył w ciągu tak długiego czasu. To też nietylko że buddyści mają naj-

więcej świątyń w Japonji, że świątynie te są najokazalsze, a na święta uroczyste schodzą się w nich nieprzejrane tłumy ludu, ale coraz nowe wznoszą się świątynie. Są one przeważnie przysłonięte konarami odwiecznych drzew, których cień nadaje im wygląd tajemniczy i uroczysty. Potworne postacie zwierzęce, smoki i węże zdobią je na zewnątrz, a olbrzymie kamienne lwy o srogim spojrzeniu strzegą wejścia. Wewnątrz, w pobliżu ołtarza, również widnieją straszne postacie, niby stróżów wykutych z kamienia. Najczęściej przyozdabiają świątynie wielkie, wspaniałe ołtarze z kosztownym posągami Buddy, różnemi statuetkami, ornamentami i złotymi kwiatami lotosu. Na polu, po ogrodach wznoszą się także dość często w miejscach zacisznych małe ołtarze i posążki. Kapłani Buddy noszą stale długie odzienie w rodzaju płaszcza, głowę zaś gołą zawsze, wiodą życie beżżenne. Wielu z nich oddaje się rozpuszcieniu; są przeważnie bez wykształcenia i nie zażywają szacunku.

(Dok. n.)

Korespondencja z Ameryki Północnej.

Detroit, dnia 2 grudnia 1903 r.

Myszę, że przysłużę się czytelnikom mego ulubionego „Zwiastuna,” dzieląc się z nimi wiązką wiadomości o naszym ruchu polskim niezależnym w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Zaraz przy zakładaniu fundamentów wielkiej republiki Nowego Świata przygotowała Opatrzność przytułek dla wielu polaków. W szeregu najdzielniejszych oficerów, walczących o niepodległość Ameryki Północnej, widnieją dwa polskie nazwiska: Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego. Potem jednostki, pochodzące z wyższych warstw społeczeństwa polskiego, dość często osiadały w Stanach Zjednoczonych, lecz asymilowane z amerykańkami, ginęły dla polskości. Długi wszakże upłynął szereg lat, nim robotnik polski zwrócił oczy swoje ku dalekiemu Zachodowi, aby tam szukać polepszenia losu swego.

Pierwsza w Stanach osada polska „Panny Marji“ została założona 1854 r. w stanie Texas, a liczyła ona około 300 rodzin, przeważnie rolników. Trzy lata później powstała druga kolonja polska w Parisville w stanie Michigan.

Początki obecnej emigracji polskiej sięgają roku 1863, gdy wielu rodaków naszych, głównie ze szlachty, znalazłszy schronienie w ziemi Waszyngtona, poczęło zachęcać swoich ziomków do opuszczenia ziemi ojczystej. Wspierani w tych dążnościach przez przyjaciół zamieszkałych w ojczyźnie, zwrócili uwagę dość szerokich kół na kraj zamorski, obiecujący sowitą nagrodę za pracę rąk ludzkich. W 1870 roku było w Ameryce 10,000 polaków, na czele których stało 10 księży katolickich. W pięć lat później liczymy już około 300 osad polskich, 50 kościółów polskich i przeszło 200,000 dusz. Liczbę polaków zamieszkałych dzisiaj w Stanach Zjednoczonych oznaczyć jest dość trudno. We-

dlug statystyki polskich parafij rzymsko-katolickich liczba ta dochodzi do 1,200,000. Wszystkich polaków ogółem, bez różnicy wyznania, jest w Stanach—według gazet amerykańskich—półtora miliona. Polacy wybudowali w Stanach Zjednoczonych przeszło 400 kościołów, a koszt wzniesienia tych świątyń wraz ze szkołami i plebanjami przewyższa 10 milionów dolarów. Utrzymanie księży i nauczycieli kosztuje rocznie z górą milion dolarów. Tu w Ameryce polak czynem i ofiarnością daje najlepszy dowód swego usposobienia religijnego i odznacza się posłuszeństwem względem przełożonego duchowieństwa.

Lecz ta ślepa wierność wobec duszpasterzy i dziecinna ufność w ich świątobliwość nieraz były nadużywane. Składki na opłacenie długów kościelnych, dochodzące w niektórych parafjach do 100,000 dolarów, kładą się nieraz ciężkiem brzemieniem na barki parafjan. Zdarza się, że myślący parafjanie, domagając się systematycznego sprawozdania z przychodów i wydatków parafjalnych, są zbywani szorstkiem: „Co wam do tego! To rzecz proboszcza! Wy czyńcie tylko to, co on wam każe!“ Żadna z tych świątyń, wzniesionych za krwawy grosz ciężko pracującego ludu, nie prędzej może być poświęcona do służby Bożej, zanim biskup djecezji nie stanie się jej absolutnym panem. Posiadając dokonany akt własności kościoła w ręku, biskup zapewnia sobie nieograniczoną swobodę we wszystkich sprawach kościelnych. Inaczej, wobec praw Unji, nie zdołałby utrzymać w karbach burzącego się żywiołu swojej djecezji.

Znaleźli się ambitni młodszy księża, którzy stracili wiarę w „jedynie zbawiający kościół“, a uprzykrzywszy sobie podrzędne w hierarchji kościelnej stanowisko, zrozumieli, że grunt, na którym stoją, podaje im możność do uwolnienia się od kontroli czy to proboszcza, czy to znowu biskupa. Pewni, że pójdzie za nimi część parafjan, i wiedząc, że od gwałtu ze strony władzy kościelnej osłania ich dostatecznie prawo cywilne, rozpoczęli walkę, której rezultatem jest założenie kościołów niezależnych. Chcąc dokładnie poznać ruch ten, odwiedzałem jeszcze jako student osady polskie, uczestniczyłem w zebraniach i nabożeństwach zwolenników tych „niezależnych“ kościołów. Niejedną słyszałem i widziałem tam niedorzeczność, której tutaj powtarzać nie będę. Lecz, aby czytelnik mógł sprawę lepiej zrozumieć, kilka przytoczę przykładów.

Tak np. w kilku kościołach już nie podkopano, ale wprost zdeptało powagę papieża we właściwym kościołowi rzymskiemu pojęciu, a jednakże — zbierano świętopietrze! Parafjanie słyszeli np. z kazalnicy, że „biskupi, niemiec i irlandczyk, od papieża wyklęci“, i tylko oni „niezależni od złych biskupów polacy“ zostali wierni stolicy apostolskiej. Taką strawą karmiono ten biedny, ślepy lud!

Księża zaś wierni Rzymowi fanatyzowali swoje owieczki i podburzali je przeciw „odszczepieńcom;“ to też przy zakładaniu niezależnych kościołów na porządku dziennym były niesnaski, kłótnie, nawet krwi rozlew, a policja amerykańska miała dość dużo pracy z polskimi „wiernymi chrześcijanami.“ Ze strony księży rzymsko-katolickich często słyszeć było można uzalania „na pogański kraj i władzę, prześladowającą

wiernych, mszczących się nad zgrają piekielną.“ Władza w naszym „pogańskim“ kraju nie pozwala na to, aby się ciemny tłum zajmował wymiarem sprawiedliwości, więc gdy w Buffalo doszczętnie zburzono kaplicę niezależnych, policja przestępców prawa bez ceremonji uwięziła, a sąd niemiłosierną nałożył im pokutę. Pod wpływem księży, którzy od XVI wieku ani na krok nie posunęli się naprzód, złożył nasz polski lud katolicki tu na obczyźnie takie smutne dowody swego chrześcijaństwa! Cóż dziwnego, że amerykanie mówią teraz o polakach tylko z pogardą?

Śledząc dalszy rozwój ruchu niezależnego, rzec musimy, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Przyszedł czas, że księża, stojący na czele tego ruchu, musieli zdjąć maskę i powiedzieć ludziom prawdę, że zerwali łączność z papieżem. Aby usprawiedliwić krok ten, trzeba było sięgnąć po broń do Pisma św. i dziejów kościoła. Zaszła też potrzeba zorganizowania się; zrodziła się świadomość, że chcąc wpłynąć na jak największe masy ludu, aby je oderwać od kościoła rzymskiego, dobrzeby było obrać biskupa polskiego. Naznaczono tedy zjazd na dzień 22 września 1896 r., wydana została „odezwa“ do ludu polskiego, zamieszkałego w Stanach Zjednoczonych i do jego księży. Oto znamienne ustępy tej odezwy:

„Czas już, aby i naród polski obudził się z letargu wieków a pozbył się bałwochwalstwa i odrzucił od siebie ze wżgardą tyranstwo, co pod płaszczem religji go gnębi i kłamstwem karmi jak chlebem powszednim. Czas wyjść z wiecznej rzymskiej Babilonji i stanąć na wolności synostwa Bożego.

Kościół rzymski nie jest kościołem katolickim, choć się nim być mieni; kościół ten jest odszczepieństwem od Boga, od wiary, od Chrystusa.

Na łonie rzymskiego despotyzmu niema nic chrześcijańskiego, tam — bluźniercze nauki, błędne zasady, świętokradzkie sakramenta; tam nawet za świętych ogłosili zbrodniarzy, złodziejów, włóczęgów, wiarołomców. (!!!)

Rzym jest to Babilon zgorszenia; Rzym nawet sfalszował „Ojcie nasz,“ sfalszował przykazania Boskie: zamiast dziesięciu naucza dziewięć; choć one podzielone są na dziesięć, w istocie jest tylko dziewięć.

Biskup ma być mężem jednej żony i dzieci dobrze wychowywać. Djakonowie niech będą mężami jednej żony, 1 Tym. 3. To dowodzi, że w kościele rzymskim niema wiary; tam niemoralność, tam zbrodnie są uprawnione....

Ten, co potrójną tjarę na swą głowę wkłada, nosi na tejże tjarze słowa wyryte „Vicarius Filii Dei“: Namiestnik Syna Bożego. Ojcowie kościoła z Hieronimem świętym, tłumacząc Objawienie św. Jana, twierdzą, że tam mowa o antychryście: „Tu jest mądrość; kto ma rozum, niech zrachuje liczbę onej bestji, albowiem jest to imię człowieka, a liczba jej jest 666.“ *)

Nie trzeba komentarzy! Zważywszy, że owa odezwa obejmuje 14 stronice druku formatu mniej więcej „Zwiastuna“ i cała jest trzymana w duchu wyżej przytoczonych wyjątków, łatwo sobie wyobrazić chara-

*) Cyfrowe znaczenie liter w słowach „Vicarius Filii Dei“ daje w sumie liczbę 666.

akter walki polaków niezależnych z Rzymem. Dla nas wszakże brzmią mile, bo całkiem po ewangelicku takie np. słowa: „Do zbawienia nam nie potrzeba Rzymu, ale nieba, nie trzeba papieża, ale Chrystusa, nie potrzeba djecezji biskupiej, ale trzeba Ewangelji świętej.“

Szkoda, że zwołany zjazd „niezależnych“ był podobny do dawnych sejmów polskich.... Przystąpiono do obioru biskupa, lecz z dwu kandydatów nie obrano żadnego. Wiec przeto spełził na niczem. Obydwa kandydaci zaś szukali na własną rękę biskupich kapeluszy. Ks. Antoni Kozłowski został wyświęcony na biskupa przez duchowieństwo starokatolickie w Szwajcarji, a ks. Stefan Kamiński kupił sobie tytuł biskupi w Ameryce.

Dnia 26 lutego 1903 roku przedstawił biskup Kozłowski zebranym na konferencji przedstawicielom anglikańskiego episkopalnego kościoła projekt połączenia swojej djecezji z kościołem episkopalnym. Za tym projektem przemawiał gorąco biskup Patter, dotąd wszakże o formalnem złączeniu nic nie słyhać. Aleć chyba jeszcze i nie czas na takie połączenie, bo dotąd biskup Kozłowski został przy formach nabożeństwa rzymsko-katolickiego. Biskup Kamiński mniej projektuje, ale więcej pracuje nad zaszczerpieniem nauki ewangelicznej w swojej djecezji, ale i on pozostał przy rytuale rzymsko-katolickim.

Trzecia partja niezależnych, założona w r. 1897 przez ks. Hodura, mianuje się „kościołem polskim narodowym,“ a na czele jej stoi założyciel.

Liczba dusz, należących do tych trzech kościołów, sięga, wedle ich przewodników, 100,000.

Różne projektowane zmiany w formie nabożeństwa nie zostały przeprowadzone. Tylko tu i owdzie zaczęto odprawiać mszę w języku polskim. To wszystko, co w tym kierunku zrobiono. Głosy nawołujące, aby się „niezależni“ księża żenili, znalazły chętnych słuchaczy, lecz przebrzmiały bez skutku.

My, ewangelicy, ruch ten witamy z radością, w nadziei, że przyniesie on plon obfity, lecz dopiero w przyszłości. Teraz już w walce przeciw papieżowi księża „niezależni“ zalecają parafjanom swoim czytanie Pisma św. i sami sprzedają Biblję tłumaczenia protestanckiego. Gazety postępowe korzystają z tego i współdziałają w rozpowszechnianiu Biblij polskich między katolikami. Jeden z redaktorów mówił mi, że w ciągu roku sprzedał między katolikami 300 Biblij po cenie 2 dolary za egzemplarz. Ja sam w ciągu trzech lat rozesłałem przeszło 500 egzemplarzy Pisma św., przeważnie rodzinom katolickim. Czy to nie błogosławieństwo? czy to nie jest rękojmią obfitego żniwa w przyszłości? A cóż dopiero mówić o polskiej literaturze ewangelickiej! W tysiącach egzemplarzy rozchodzą się co miesiąc broszurki protestanckie wśród naszych rodaków w Stanach Zjednoczonych. Ruch „niezależny“ w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej toruje Ewangelji drogę do serca ludu polskiego. Początek ruchu tego nie był chrześcijański, ale wszechmocny Bóg skierować go raczył na drogę szukania prawdy. Stąd radość dla nas, ponieważ my wiemy, że tylko Ewangelja zdoła uszlachetnić lud nasz, i żywimy nadzieję, że nadejdzie czas, a ziomko-

wie nasi poniosą światło Ewangelji z Ameryki do domów swoich katolickich przyjaciół zamieszkałych na drogiej ziemi ojczystej, z której nas los życia wyprowadził.

O tak! racz zrządzić Boże przedwieczny, aby wrócił ten czas, kiedy ewangelicy byli światłością braciom swoim katolickim, przyświecając im życiem przykładnem, żywą wiarą w Zbawiciela i szczerą miłością ojczyzny.

Ks. Karol W. Strzelec.

Mały dobosz.

„Kiedy to nareszcie wrócimy do domu?“ pytał mały Bertrand swej matki.

„Nie mamy już domu—rzecze mu matka. — Żołnierze spalili dom nasz i z ziemią zrównali miejsce, na którym się wznosił, zniszczyli też ogród i winnicę, a my dziękować winniśmy Bogu, że nam z życiem ująć pozwolił.“

„Gdybym był duży,—odparł chłopczyzna—odpędziłbym tych niedobrych żołnierzy tam, skąd przyszli; ale jestem jeszcze zbyt mały, aby coś pomódz!“

„Nie mów tak—odpowiedziała mu matka.—Jesteś za mały na to, aby za nas walczyć, bo drobną rączką nie możesz jeszcze objąć miecza. Jesteś jednak dość duży na to, aby umrzeć dla sprawy Boga naszego, jeśli On tak zechce.“

„To też chętnie umrę, jeśli to będzie potrzebne,—rzecze malec—bo wszak po śmierci pójdziemy wszyscy do Pana Jezusa, do nieba, a tam to już zawsze będzie nam dobrze.“

Ze skały, na której siedziała matka z dzieckiem, widać było jak na dłoni cały obóz waldensów. Dali oni się wygnać ze swych siedzib alpejskich, ale ani na jotę nie odstępili od wiary swej, na Biblii opartej, i nie wyrzekli się łaski Bożej w Chrystusie. Za to, że nie chcieli powrócić do papiestwa, strumieniami lała się krew ich, a po wypędzeniu z ojczyzny jeszcze nie ustało prześladowanie. I teraz oto ścięły ich wojska nieprzyjacielskie. Na skraju widnokregu zarysowały się kontury ich obozowiska. W oczekiwaniu na atak prześladowców, waldensowie sypali szanice, gromadzili kamienie i grube pnie drzewne.

Podczas gdy matka małego Bertranda z modlitwą na ustach patrzyła w dal, po ścieżce górskiej wdrapało się na skałę dwu mężczyzn. Jeden z nich był to ojciec Bertranda, a drugi—jego dziadek. Powaga, rozlana w obliczu przybyłych, nie zwiastowała nic dobrego. Istotnie, po krótkim powitaniu, oświadczył młody wódz żonie swojej, że przed chwilą starszyzna otrzymała wiadomość o planie nieprzyjaciela, aby tejże nocy zaskoczyć niespodzianym atakiem waldensów, za jakąbądź cenę zdobyć niedokończone jeszcze szanice, i nim jutrznia zaświta, zgładzić ogniem i mieczem cały obóz.

„Zbrojni przygotowują się do stanowczej obrony—rzekł wódz.—Starcy zaś, niewiasty i dzieci mają się udać dalej w góry.“

„Mamże więc z innemi kobietami iść w góry?—spytała go stroskana żona.—Jakże chętnie zostałabym przy boku twoim! A jeśli śmierć nas czeka, umierając z tobą, byłabym szczęśliwa!”

„To być nie może, ukochana—odparł wódz.—Mnie przypadł obowiązek bronić przesmyku, twojem zaś jest powołaniem pocieszać i koić serca strapione i wzywać pomocy Bożej, bo bez niej wszyscy jesteśmy zgubieni.”

„A więc pójdę spełnić swoją powinność—odpowiedziała z poddaniem się żona dowódcy—i pewna jestem, że nam Bóg dopomoże i ocali nas od miecza nieprzyjaciół. Kto wie, czy Bóg nie zrządzi jakiego cudu, aby nas uratować tak, jak ongi, gdy Izrael szukał Jego pomocy.”

„Nie spodziewam się cudu,—rzekł młody wódz—ale nadzieja moja jest w Panu (Ps. 146, 5), i to mi doda sił w walce. Ty zaś idź w góry i módl się za nas, a gdy najgorętsza zawre bitwa, oczy moje podniosę na góry, skądby mi pomoc przyszła (Ps. 121, 1). A teraz żegnaj! Niech was strzeże wierny Bóg dla imienia Swego świętego!”

Dowódca począł szybkim krokiem spuszczać się na dół, śpiesząc na posterunek, podczas gdy sędziwy jego ojciec wraz z synową i wnukiem przyłączyli się do starców, niewiast i dzieci, którzy długim szeregiem wdrapywali się na góry, i zwolna posuwając się naprzód, śpiewali pieśń, pełną ufności w pomoc wiernego i wszechmogącego Boga. Ale mały Bertrand, zbierając kwiatki, został w tyle, oddalił się w bok; gdy zaś z pekiem szarotek w ręku chciał dogonić matki, zauważył, że nie tylko stracił wszystkich z oczu, ale już nawet ich śpiewu nie słyszy. Głęboka cisza panowała dokoła. Szczyty górskie go otaczały, śniegiem pokryte, tonące we mgle. Strach go ogarnął.. Błądził pośród gór, trapiąc się myślą, jakimby to sposobem odnaleźć swoich. Wiedział, że żaden człowiek pomódz mu tutaj nie zdoła, więc złożył ręczyny, zgął kolana i począł prosić swego Zbawiciela ukochanego, aby szedł z nim razem i do mateczki go zaprowadził. Noc zapadała i mroki się słały na ziemię. Powoli i ostrożnie stapał nasz chłopczyk, ale teraz już spokojny, bo silny ufnością, że go prowadzi Jezus, który wysłuchuje modlitwy dzieci.

Wtem potracił nogą o jakiś przedmiot, który się potoczył z głuchym odgłosem. Bertrand spędził zbyt dużo czasu w obozie, aby nie poznać odrazu, że natrafił na bęben. Obejrzawszy go dokładniej, ile pozwalał na to słaby blask gwiazd, Bertrand dostrzegł przy nim pałeczki i wnet błysnęła mu myśl: przywołać bębnieniem pomoc. Zaczął tedy bębnić, ile mu sił starczyło, a góry stokrotnem echem odbijały odgłos werbla żołnierskiego.

W nieprzyjacielskim obozie panowała wesołość ogólna. Żołnierze sabaudzcy przy szklanicach i pieśniach wesołych rozprawiali o bitwie, która ich czekała za kilka godzin. Byli pewni wygranej. Śmieli się szydlerczo, widząc zdala długi sznur starców i kobiet, uchodzących w góry. „Nie pójdą za wami wasi mężowie: w pień ich wytniemy!”

O zmierzchu rozłożono ogniska, a młodszy żołnierze poczęli tańczyć w blasku ognia. Lecz w chwili największej wesołości przybiegły nocne

forpoczty z wiadomością, że waldensowie biją w bębny do ataku i że widocznie chcą uderzyć na sabaudezyków z tyłu. Rzeczywiście, wśród chwilowej ciszy słychać było wyraźnie odgłos bębna.

Powstało poruszenie w całej armji. Ułożony plan nocnego ataku spełził na niczem. Ale starszyzna nie mogła się zgodzić na to, co porządzić. Waldensowie spostrzegli niebawem zamieszanie, jakie wynikło wśród sabaudezyków i postanowili wykorzystać tę okoliczność. W oka mgnieniu sformowali się w szyku bojowym i całemi siłami spadli w gwałtownym ataku na obóz księcia sabaudzkiego. Niespodziany atak powiększył zamieszanie wśród sabaudezyków: ustał wszelki ład, nie słuchano już żadnej komendy, każdy ratował się ucieczką, jak mógł.

Odniosłszy świetne, acz nietrudne zwycięstwo, wracali waldensowie do swego obozu dłuższą, lecz wygodniejszą już drogą i zdziwieni słysząc z góry tajemniczy odgłos bębna, który stał się przyczyną popłochu nieprzyjaciela. Gdy rozprawiają nad tem, co by to być mogło, bębnienie ustaje, a natomiast słychać z góry głos dziecka: „Pomóżcie mi, moi kochani, bo mi się jeść chce i zziębłem.“

Cisza zaległa szeregi, a w świetle podniesionych pochodni na skale, o kilkanaście stóp nad drogą, ujrano małego Bertranda z bębnem wojskowym.

W kilka chwil potem Bertrand spoczął w ramionach ojca, a wojsko zaintonowało hymn dziękczynny: „Nie nam, Panie! nie nam, ale imieniowi Twemu daj chwałę dla miłosierdzia Twego i dla prawdy Twojej“ (Ps. 115, 1).

R.

Z prasy.

Sprawa ks. Bolcewicza. Z licznych listów do redakcji „Zwiastuna“ wystosowanych przekonywamy się, do jakiego stopnia czytelnicy nasi interesują się losami ks. Bolcewicza, który przed niedawnym czasem tak śmiało i odważnie stanął w obronie prawdy przeciw obłudzie i fanatyzmowi. Z tego powodu przytaczamy list p. Cz. Jankowskiego, zamieszczony w ostatnim numerze „Kraju“ (№ 52 z dnia 5 stycznia r. b.):

W Wilnie, na Zarzecz, przygarnięty przez ludzi miłosiernych a pobożnych, mieszka ks. Henryk Bolcewicz, zasuspendowany, t. j. pozbawiony parafji swojej, oraz prawa spełniania obowiązków kapelana i, co za tem idzie, pozbawiony środków do życia. Co ściągnęło na ks. Bolcewicza tak surową karę bezpośredniej zwierzchności duchownej, to jest zarządzającego obecnie djecezją wileńską? Ks. Bolcewicz liczy nie więcej nad trzydzieści kilka lat; pierwszą i jedyną parafją powierzoną jego duszpasterstwu, były Zyrmuny w pow. lidzkim. Przebył tam lat dwanaście, dając z siebie parafjanom przykład wzorowy, wywierając najzbawienniejszy wpływ, uszlachetniając dusze, rozkrzewiając zasady moralności, jednając serca. Gdy suspensa nań spadła, udała się delegacja od 20 tysięcy parafjan żyrmuńskich do ks. Frackiewicza, administrującego djecezją wileńską, z prośbą gorącą o pozostawienie ks. Bolcewicza na stanowisku, na którym tyle zasług położył. Ks. administrator nie udzielił nawet posłuchania delegacji.

W ciągu całego roku 1902 toczył ks. Godlewski w warszawskiej „Kronice Rodzinnej” gwałtowną i namiętą polemikę z pastorami ewangelickimi, występującymi na szpaltach warszawskiego „Zwiastuna Ewangelicznego.” Ks. Bolcewicz pilnie śledził jej przebieg, a doszedłszy do wniosku, że traktowanie sprawy ze strony księdza Godlewskiego tchnie zawziętością i złością, że polemikę prowadzi niesumienne a w tonie „wulgarnym,” napisał artykuł, zatytułowany „Pogromca protestantyzmu,” i posłał go do wzmiankowanej „Kroniki Rodzinnej” w mniemaniu że dobrze czyni, zalecając kapłanowi poszanowanie dla prawdy, miłość chrześcijańską względem bliźniego, oraz gorliwość — rozumną. Artykuł został nie przyjęty, i przeszedłszy różne koleje, ukazał się na wiosnę r. b. w warszawskim „Ogniwie.”

Niedługo potem w temże „Ogniwie” pojawiła się serja krótkich, ale mocnych artykułów ks. Bolcewicza (jak zwykle z podpisem imienia i nazwiska), traktujących o stosunku duchowieństwa do prasy, zdających sprawę z broszury Starego Gawędziarza (pseudonym kapłana), z książki ks. Charszewskiego „O rozumnej gorliwości kapłańskiej” (wydanej przez „Przegl. Katol.”), potracających wreszcie o ustne i w druku oburzenia się oraz insynuacje, które ściągnął na siebie ks. B., przemawiając w imię prawdy, miłości i rozsądku „Mam niezachwiane przekonanie — pisał między innemi ks. Bolcewicz — że Kościół rzymsko-katolicki *prawdą i miłością* tylko stać winien i przestałby być sobą, gdyby dla swej obrony potrzebował kłamstwa, ukrywania i jakiegokolwiek niesumienności, lub je tolerował.” „Występuję przeto nie jako szermierz protestantyzmu i nie przeciw obrońcy kościoła, lecz przeciw dotąd jeszcze nienapiętnowanej etyce, która każe tolerować, jeśli nie pochwałać nieuczciwość dlatego jedynie, że popełniona została — w imię rzekomej korzyści kościoła.”

Dziełko ks. Charszewskiego — wydane, jak się rzekło, staraniem „Przegl. Katolickiego” — gorąco zachwalał, podnosząc szlachetność wypowiedzanych w nim myśli i poglądów, wyrażając życzenie, aby jak najszerzej rozpowszechniały się one. Gdy wreszcie ks. Majewski wystąpił w „Przegl. Katol.” z siarczystą filipiką przeciwko uczęszczaniu księży na koncerty (np. Filharmonji), ogłosił ks. Bolcewicz broszurkę, wykazującą, jak bezpodstawnie sz. autor nazwał „łobuzami” i t. p. epitetami kapłanów, przysłuchujących się np. orkiestrze, dyrygowanej przez... ks. Perosiego. Ani prawo kanoniczne, ani „okoliczności” nie upoważniają ks. Majewskiego do rzucania takiej anatemy.

Gdy artykuły proboszcza żyrmuńskiego poczęły nabierać rozgłosu, autora ich wezwała przed oblicze swoje kapituła wileńska, udzieliła mu nagany i zażądała „odwołania.” Bodaj że wówczas właśnie dopełnił był tego aktu publicznie, bo w „Kur. Warszawskim,” ks. Kowalski Kapituła ułożyła tekst tego rodzaju oświadczenia, wymagała tylko podpisu i postawiła za warunek: ogłoszenie w którymś z czasopism. Ks. Bolcewicz, jako człowiek głęboko przekonany o słuszności swych poglądów i jako kapłan, któremu wykroczenia względem prawa kanonicznego wcale nawet nie starano się dowieść, nie mógł uczynić zadość życzeniu kapituły.

Zaproponowano inny tekst „odwołania.” Ks. Bolcewicz ze swej strony zaproponował inny jeszcze tekst oświadczenia (uroczyście zapewniający, że stoi jak najwierniej i stać pragnie do końca życia przy kościele). Rzecz wzięto do namysłu; potem oświadczono, że kapituła nie może zadowolić się takim tylko oświadczeniem, a żąda wręcz odwołania, oraz oddawania jej do cenzury wszystkiego, co ks. Bolcewicz zamierza nadal drukować. W czasie tych pertraktacyj reszta artykułów, o których była mowa, posłanych uprzednio do redakcji warszawskiej, wyszła z druku, mianowicie recenzja dziełka ks. Charszewskiego.

Tedy przywołał przed siebie ks. Bolcewicza ks. administrator djecezji wileńskiej i zasuspendował go. Ks. Bolcewicz zdał natychmiast parafję,

przystał sprawować urząd kapłański i, pozbawiony wszelkich zgoła beneficjów, bez grosza przy duszy, literalnie bez środków do życia, schronił się — na bruk wileński. Ze dach znalazł nad głową, zawdzięcza to niewygasłej wśród dusz rzetelnie zbożnych miłości chrześcijańskiej i głębokiemu przeświadczeniu, że sąd Boży ponad ludzkim stoi sądem.

Nie pozostało ks. Bolcewiczowi nic innego, jak — czekać; czekać na przybycie do Wilna JE. ks. biskupa Roppa, aby zaapelować do jego decyzji i zwierzchniej władzy. Czekać — ale o czym? Biskup daleko — a głód blisko. Mógłby ks. Bolcewicz szukać pomocy we własnym, nieposzwanym talencie pisarskim: pisze niezwykle jasno, dobitnie, wybornym stylem, pisze z głębokiem przeświadczeniem o niezbędności powiedzenia tego, co pragnąłby gorąco wpoić przedewszystkiem w stan, którego dostojność, obowiązki i wielką rolę społeczną odczuwa głęboko; rozporządza szerokiem wykształceniem, ma odwagę cywilną, ma umysł jasny, logiczny, duszę czystą i szlachetną. Ale ks. Bolcewicz milczy. To, za co został ukarany, to tylko — chce złożyć w ręce nowego biskupa, jako dowód rzeczowy, i do jego decyzji się odwołać.

Co zaś do społeczeństwa samego, przed którem wystąpił ks. Bolcewicz, przemawiając na *forum* prasy, społeczeństwo to, sądzę, powinno mieć w sprawie tej zdanie własne.

Wiadomości z kościoła i ze świata.

Sprawy konsystorskie. Kancelarja generał-gubernatora warszawskiego zawiadomiła Konsystorz, że ministerjum spraw wewnętrznych zatwierdziło 27 domów modlitwy w gubernji piotrkowskiej i 18 w gub. płockiej, istniejących dotychczas tylko z zezwolenia Konsystorza. — Ks. Radazewski z dniem 1 (14) stycznia r. b. zatwierdzony został w urzędzie pastora w Ossówce i objął obowiązki; administratorem dotychczasowej jego parafji, Sompolna, Konsystorz od tejże daty zamianował ks. Paiserta z Chodcza. — Ks. Serini podobno cofnął się z kandydatury do wakującej parafji w Lipnie.

Ś. p. Edward von Hoerschelmann, były długoletni członek świecki Konsystorza naszego i b. naczelnik jego kancelarji, zakończył życie w Warszawie dnia 6-go b. m. Jeszcze w r. 1867 wstąpił do Konsystorza i pozostał w nim aż do r. 1899. Był on nie tylko sumiennym, pełnym dobrej woli urzędnikiem, ale miał na oku przy wszystkim, cokolwiek czynił, dobro kościoła naszego, któremu szczerze był oddany. Z nim zeszedł do grobu jedna z tych osobistości, które były filarem dawnego Konsystorza naszego. Cześć jego pamięci.

Ś. p. Maurycy Schurig, b. długoletni kasjer zboru warszawskiego, rozstał się z tym światem w pierwsze święto Narodzenia Pańskiego. Był to człowiek wielkich zasług: nie tylko nieposzlakowanej uczciwości, ale zabiegliwy i strzegący z całym poświęceniem dobra zboru. Był to typ urzędnika dawnego autoramentu, dbający nie o swoją wyłączną korzyść, ale mający przedewszystkiem na oku instytucję jego pieczy powierzoną. To też nader liczne grono członków naszego kolegium kościelnego, z pastorami i prezesem na czele, oddało mu ostatnią posługę.

Z parafji Lubelskiej. Dotąd nowy cmentarz lubelski, założony w r. 1898, nie posiadał żadnych ozdób. Przed paru miesiącami pan H. F., obywatel i parafjanin tutejszy, przyozdobił bramę cmentarną swoim kosztem dwiema kamiennymi urnami, wykonanemi w tutejszym zakładzie kamieniarsko-rzeźbiarskim p. Timmego.—Pani D. P., po przebyciu ciężkiej choroby, złożyła do tutejszej kasy kościelnej na fundusz wieczysty rb. 500 z warunkiem, aby odsetki były obracane na potrzeby naszego kościoła. Cześć i podzięka bogobojnym i szlachetnym ofiarodawcom.—Kantor Steinhauer z Janowic zdał w tych dniach w Chełmskiem seminarjum nauczycielskiem egzamin na nauczyciela elementarnego. Kantor ów dał swoim współtowarzyszom godny do naśladowania przykład sumiennej pracy nad samym sobą, uwieńczonej tak pomyślnym rezultatem.

Z Kalisza. Dnia 31 grudnia r. z. minął rok, kiedy zbor nasz w Kaliszu, zgromadzony licznie w przybytku Bożym, powitał swego nowomianowanego duszpasterza, który w ów wieczór sylwestrowski odprawił pierwsze w kościele tutejszym nabożeństwo. Przez rok ów ubiegły usilnie starał się ks. E. Wende, aby zbor nasz, nieco we śnie pogrążony, rozruszyć i rozbudzić w nim życie religijne. Wprowadził on w tym czasie rozmaite udogodnienia, starając się jak najwięcej umożliwić parafjanom udział w nabożeństwach, stosując je do czasu i ojczyznej mowy zborowników.

Miedzy innemi, jak to w swoim czasie do „Zwiastuna“ pisaliśmy, zaprowadził ks. Wende nabożeństwa pasyjne w godzinach wieczornych, jak również nabożeństwa w języku polskim; w tymże języku po raz pierwszy w roku ubiegłym odbyła się uroczystość konfirmacji dla dzieci, nie władających językiem niemieckim. Odbyło się też kilka nabożeństw w języku polskim, połączonych ze spowiedzią i komunją, gdy w latach poprzednich komunja w języku polskim odbywała się tylko raz do roku, w Wielki Czwartek. Największą jednakże radością dla tutejszych parafjan była wieść, iż w wieczór wigilijny Bożego Narodzenia, na wzór innych miast, odbędzie się nabożeństwo po raz pierwszy w Kaliszu; tłumnie więc pospieszyli parafjanie do kościoła, gdzie o godz. 5-ej wieczorem odprawione zostało nabożeństwo liturgiczne z krótką lecz serdeczną przemową, przeplatane odpowiednimi śpiewami, wykonanymi przez miejscowy chór kościelny. Po bokach ołtarza stały dwie choinki z iskrzącemi się na nich świeczkami, sprawiające nadzwyczaj miłe wrażenie. Nabożeństwa w dni świąteczne, w wieczór sylwestrowski i Nowy Rok odbyły się zwyczajem lat poprzednich.

Wkońcu pozwalamy sobie przytoczyć następujące dane o zborze naszym za rok 1903: urodziło się ogółem 62 dzieci, wtem 26 płci męskiej i 36 płci żeńskiej; konfirmowanych było 26 chłopców i 29 dziewcząt, razem 55; ślubów było 11, wtem 7 z miasta i 4 z okolicy; zmarło dorosłych: 15 mężczyzn i 21 kobieta, dzieci: 16 chłopców i 12 dziewcząt, ogółem—64 osoby; do stołu Pańskiego przystępowało 539 mężczyzn i 774 kobiety, razem 1313 osób, prócz tego udzielono komunji św. 29 chorym w domu.

Z parafji Nejdorfskiej pod Sławatyczami. Zarząd kasy zapomogi zborów ewangelickich w Cesarstwie wydaje rok rocznie na uroczystość reformacji niewielką broszurę, właściwie tak zwany „list lotny,” z wiadomościami o potrzebach zborowych, o udzielonych wsparciach i z wezwaniem o pomoc duchowną i materjalną dla zborów, rozrzuconych po całym obszarze wielkiego państwa Rosyjskiego. Z 21-go sprawozdania, które wyszło dnia 1 listopada r. p., wyjmujemy następujące szczegóły, dotyczące się zboru Nejdorfskiego nad Bugiem położonego a składającego się z ewangelików wyłącznie polskiej mowy. „Wielka radość! — pisze sprawozdanie w rzeczonym liście — Nejdorf ma za sobą rok, który był rokiem ciężkiej, natężonej pracy, ale i rokiem wielkiej radości. Komitet centralny udzielił rzeczonej parafji zapomogi 2,000 rubli, zbory należące do Konsystorza kurlandzkiego zebrali dla nejdorfjan przeszło 500 rb., resztę dodali miejscowi parafjanie, — a za te pieniądze odrestaurowano świątynię, która poświęcona została dnia 17 listopada st. st. roku zeszłego. Nie jest ona jeszcze — czytamy dalej w powyższym liście — zupełnie wykończona, a na parafji ciążyą długi; ale parafjanie nie upadają na duchu. Pan, który im dotąd dopomagał, nie opuści Swego zboru i pomoc mu w swoim czasie zeszle. W Strulnie przystępuje do komunji świętej 700-800 osób, które zbierają się na nabożeństwa w prywatnem mieszkaniu, ale i oni zebrali już 2,800 rb. na budowę projektowanego kościółka. Gorliwy pastor miejscowy rozjeżdża po parafji i spotyka osady, dotąd zupełnie nieznanne i przez nikogo nie zwiedzane. Tak np. dotarł do kolonji Jazwin, przez ewangelików mówiących po niemiecku i czesku zamieszkałej; przed paru tygodniami zwiedził kolonję estońską, znajdującą się w błotach Pińskich. Niestety, do tych miejscowości tylko podczas suchej pory roku można dojeżdżać.“

Powyższe sprawozdanie uzupełniamy następującymi szczegółami, zaczerpniętymi u źródła. W czerwcu r. p. świątynia nejdorfska została ze wszystkiem wykończona. Plebanję wyrestaurowano i pomalowano na olejno. Na pokrycie niewielkich długów sporządzono 3,000 pocztówek z widokami kościoła i plebanji, dokonano też 200 większych zdjęć. Ale, Niestety, miejscowy pastor ks. Zirkwitz, który był duszą całej parafji i który ją doprowadził do możliwego ładu, został wybrany do Białegostoku i dnia 2 (15) listopada r. p. Nejdorf opuścił.

O pożytecznej, kulturalnej, pełnej zaparcia się pracy ks. Zirkwita pisaliśmy na łamach „Zwiastuna“ na początku roku zeszłego (patrz str. 77). To też, gdy ks. Zirkwitz po raz ostatni jako pastor nejdorfski błogosławił swoich ukochanych parafjan, łkania rozlegały się w całym kościele. Rodzice i dzieci życzyły drogiemu duszpasterzowi z całego serca, ze łzą żalu i wdzięczności w oku, błogosławieństwa Bożego na dalszą drogę życia. Od parafjan pozamiejscowych otrzymał ks. Zirkwitz kilka serdecznych i rzewnych listów, z których przytaczamy dosłownie kilka wyjątków, aby dać poznać, jak ten lud polsko-ewangelicki umie cenić, szanować i miłować swoich duszpasterzy. „Bardzo smutną, — piszą nejdorfianie znajdujący się wówczas na robocie w okolicach Sosnowca — wiadomość otrzymujemy ze swoich stron od braci, że naju-

kochański nasz pan pastor chce nas opuścić i pozostawić nas sierotami. Wyjeżdżając wiosnową porą na robotę, smutno jest rozłączać się z krewnymi, a co najważniejsza, ze słuchaniem słowa Bożego, głoszonego co niedzielę przez kochanego naszego pastora, którego w cudzych stronach nie łatwo można posłyszeć. Ale pocieszamy się nadzieją, że jeżeli Pan Bóg pozwoli szczęśliwie powrócić w rodzinne strony, to znowu w krótkim czasie usłyszymy słowo Boże z ust kochanego naszego pastora. Ale, niestety, dowiadujemy się, że pan pastor nasze parafje już opuszcza. Żal w nas z tego powodu nie do opisania. Jeżeli jest możebne, to najgoręcej prosimy pana pastora o pozostanie nadal w naszej parafji, na którą pan pastor tyle wyłożył trudu. Jeżeli zaś inaczej już być nie może, to ostatecznie prosimy o przebaczenie, jeżeli w czemkolwiek przeciwko panu pastorowi zawiniliśmy. A zarazem życzymy z całego serca dla pana pastora, dla pani pastorowej i całemu domowi szczęśliwej podróży, zdrowego wieku i wesołego pobytu w nowoobranej parafji. Z uszanowaniem dla pana pastora i pani pastorowej zostajemy zdrowi, tylko w głębokim żalu....“ (Następują podpisy). Inny list pisany jest z kolonji Swierże i tak brzmi: „Powracałem od pana pastora ze zranionem sercem i w wielkim smutku.. Chciałem słowami wywdziżyć się wielbnemu panu pastorowi za wyświadczone dobra, którymi jestem obdarzony, ale nie mogłem przemówić słowa, zakamieniało mi serce, gdym się rozstawał jako z moimi rodzicami.. Może nieraz przykrość zrobiłem, ale nie mogłem przemówić słowa i teraz muszę spędzać smutne chwile, do lez muszę być wzruszony, że nie będę więcej oglądał swego najukochańskiego duchownego ojca. A więc dziękuję Najwyższemu Bogu i wielbnemu panu pastorowi za wyświadczone dobra, za miłość pana pastora, która mnie doprowadziła do celu przeznaczenia. W czemkolwiek może przewiniłem względem pana pastora, czy to w nauce, czy to słowami, proszę mi przebaczyć, a także dziękuję wielbnej pani pastorowej za wyświadczone dobra; może nieraz dokuczyłem, jakem był w nauce, panu pastorowi i pastorowej a także dzieciom życzę zdrowia najmilszego.“ W taki sposób i z takim uczuciem żegnali starcy i dzieci, uczniowie i uczennice swego pasterza. Przytoczyliśmy tylko dwa typowe listy, było ich więcej.

Ks. Zirkwitz pisze nam, że rozłąka z ukochanym zborem była dlań ciężka. Wierzymy mu zupełnie. Ale snadź Bóg tak chciał, że pasterz ten musiał opuścić, co było dotąd dlań drogiego, i pójść na kilkakrotne usilne wezwanie do zboru w Białymstoku. I tam go czeka ogromna praca: zbor opuszczony, niewiara szerzy się ogromnie. Życzymy mu z całej duszy błogosławieństwa Bożego i zasyłamy do Białegostoku serdeczne „szczęść Boże.“

Z Austrii. W Techendorfie odbyła się konsekracja nowego kościoła ewangelickiego. Koszta budowy tego domu Bożego wyniosły 40,500 koron. W Krainie w okolicy Koccoje przeszło na protestantyzm 10 osób, a tem samem rozpoczął się i tam ruch „Los von Rom.“

Z Ameryki południowej. W Cochambie (Boliwja) w niedzielę dnia 26 października r. z. uderzono we dzwony we wszystkich kościo-

łach katolickich, a na ten znak rozpasany gmin napadł na dom ewangelisty Williama Paynego, zniszczył wszystkie sprzęty i począł się przygotowywać do podpalenia domu, w płomieniach którego miał znaleźć śmierć sam Payne. Przybyły na czas oddział wojska ocalił Paynego i rodzinę jego od śmierci. Powodem do tych zaburzeń była okoliczność, iż sądy nie zgodziły się na wniosek arcybiskupa, który chciał Paynego ukarać śmiercią za otwarcie sali celem ewangelizacji. Oto próbka, czego się ewangelicy spodziewać mogą od kościoła rzymskiego tam, gdzie ma władzę w ręku.

Największa szkoła na świecie znajduje się w Londynie. Jest nią bezpłatna szkoła żydowska, składająca się z 44 klas dla chłopców i 27 dla dziewcząt. Szkoła ta może służyć za wzór dla innych, nawet chrześcijańskich szkół. Zbudowana jest według najnowszych wymagań higieny. Personel nauczycielski stanowi 68 nauczycieli i 48 nauczycielek. Również w Londynie znajduje się największy zakład dla misji żydowskiej, w którym kilkanaście tysięcy żydów otrzymuje bezpłatnie lub za małym wynagrodzeniem poradę lekarską.

Wiadomości misyjne. Kalwskie wiadomości misyjne donoszą, że 175 boerów powzięło zamiar poświęcić się sprawie misji. Dla stu z nich znalazły się środki na dalsze wykształcenie i zakupiono już na sumę 200,000 marek dom misyjny.

W Ugandzie przed 20 laty nie było jeszcze ani jednego chrześcijanina, dziś liczba kościołów i kaplic wynosi tam 1070, do których uczęszcza przecięciowo każdej niedzieli 52,471 nawróconych pogan.

Na Gossnerowskiej stacji misyjnej Kutitoli odbyła się konsekracja nowej świątyni ewangelickiej. W dniu konsekracji przyjęło chrzest 214 pogan, którzy byli zajęci przy budowie świątyni. Świątynia powstała z ofiar litewskich przyjaciół misji, którzy gorliwym sercem składali swe grosze na cel tak szlachetny.

Od rady cesarskiego Changa w Pekinie otrzymała niedawno misja ewangelicka jako dowód uznania 25,000 franków, przeznaczonych na założenie instytutu wychowywania chłopców chińczyków. Dygnitarz chiński wychował i wykształcił swoim kosztem w ostatnich latach już 20 chłopców w szkole misyjnej.

Piotr Laffitte i pozytywizm. W roku zeszłym pochowano w Paryżu Piotra Laffitte, który od roku 1857 był przewodcą stworzonej przez Augusta Comte'a religii pozytywistycznej. Jakoby dla stwierdzenia głoszonej przez filozofa nauki o powszechnem braterstwie ludzi otaczali trumnę, trzymając sznury karawanu: francuski minister wojny, prezes stowarzyszenia robotniczego, jeden deputowany, jeden student, anglik, turek, brazylijczyk i mieszkaniec wyspy Haiti. Laffitte był prawdziwym apostołem, który zeszedł ze świata, strawiwszy długie swe życie — liczył 80 lat — na rozpowszechnieniu swej nauki słowem i pismem. Wieleż on pięknych nauczał rzeczy! „Żyć dla bliźnich!“ — takie jest hasło pozytywistów. Jakież piękne jest ich marzenie ludzkości, w którejby wszyscy: filozofowie i prostaczkowie, bogaci i wyrobnicy pracowali jednomyślnie, każdy starając się o pozostawie-

nie w świecie dobrego o sobie wspomnienia. Wieleż wspaniałych zapisali oni kart o poważaniu kobiety, o świętości węzłów rodzinnych! Ale wszystko to są mrzonki tylko, bo religja pozytywistyczna opiera się wyłącznie na wiedzy, a wiedza niezdolna jest do odrodzenia człowieka. W nauce pozytywistycznej ludzkość zajmuje miejsce Boga, ona bowiem jest najwyższą istotą, którą rozum ludzki pojąć zdoła; na ludzkości też kończy się wszelka wiedza. Jako cząstka ludzkości, owej „wielkiej Istoty,” każdy osobnik powinien pracować dla dobra ogółu, zamienić miłość własną (egoizm) na miłość bliźnich (altruizm) i dążyć stopniowo do powszechnego braterstwa. Religja pozytywistyczna czei ludzkość i tych z jej członków, którzy najwięcej żyli „dla drugich,” oddaje pokłon wszystkim, którzy pracowali dla rozwoju cywilizacji, począwszy od Mojżesza, Konfucjusza, św. Pawła i Mahometa aż do Bichata. Umierając, człowiek wciela się w *wielką Istotę* w ten sposób, że pozostawia w niej ślad spełnionych dobrych uczynków, którymi ze swej strony wywierał wpływ na rozwój ludzkości, złożonej „z większej ilości martwych niż żywych.” Smutna to nieśmiertelność, niezdolna prawdziwie pokrzepić człowieka w jego walkach życiowych!

Pozytywiści pogardliwie spoglądają na tych, którzy w Boga jeszcze wierzą. Nazywają oni okres teologiczny wiekiem dziecięcym ludzkości. Kościół uważają za arcydzieło polityczne mądrości ludzkiej, pożyteczne w wiekach średnich dla wychowania ludzkości. Ta jednak powinna się rozwijać, wyzwolić się coraz więcej z więzów teologicznych i metafizycznych, aby dojść do stanu pozytywistycznego i naukowego, do moralności wyzwolonej od wszelkiej myśli o Bogu i ugruntowanej jedynie na wspólności ludzi. Niestety, wzajemna miłość powszechna, wysniona przez Laffitta, daleka jest bardzo od rzeczywistnienia się, a na drodze przez niego wskazanej nigdy się nie rzeczywistni.

Widzimy tu ponownie rozbicie się systemu religijnego, który oddawał cześć stworzeniu zamiast Stworzycielowi, który moralność mieszał z wiedzą. Pozytywizm pozostanie piękną metodą naukową, metodą ścisłego badania, nie podźwignie on jednak ludzkości na wyższy szczebel doskonałości. „Łatwiej jest—jak ktoś powiedział—wynajdywać usterki w religji niż stworzyć nową, a pozytywizm jest daleki od tego, żeby miał służyć choćby za podstawę dla ideału w tym względzie.” Pozytywizm chciał stworzyć religję i moralność niezależną od teologii. Lecz to, co ma w sobie pięknego i wielkiego, to zaczerpnął właśnie z owej teologii, którą pogardza; zniweczył zaś środki do osiągnięcia wymarzonego przez siebie udoskonalenia: świadomość grzechu, pokutę i wiarę w Chrystusa Odkupiciela.

Ofiary.

Złożono w redakcji „Zwiastuna“:

na misję wśród pogan: A. Hajdzion rb. 2; Kutnowianka rb. 2; J. Wittyh z Wieruszowa rb. 2 kop. 30; S. K. rb. 5;

- na miąsę śród żydów: Adolf Janasz rb. 300;
na nasz kościół: S. K. rb. 5;
na Dom miłosierdzia: E. S. i J. S. z Modryńca rb. 2; Wanda Sachs przez
jałm. Knie'a rb. 2; Michał Sawicki rb. 1; M. W. składka roczna rb. 1;
Antoni Ulbrich z Jeziorny rb. 3; jako w drugą rocznicę śmierci ś. p.
Maksymiljana Kothego wdowa rb. 2; E. Schultz z Warszawy rb. 2;
J. Schultz z Wilna rb. 2; Krystyna Ruppel składka roczna rb. 5;
na wpisy dla niezamożnych uczniów: Teodorowa Wernerowa w miejsce po-
darku gwiazdkowego rb. 15;
na szkołę dla ubogich dzieci: Ludwika Wernerowa zamiast podarku na
gwiazdkę rb. 10;
na ubogich na gwiazdkę: Marja Alberti rb. 5; J. M. rb. 1; Ludwik Gatzke
rb. 1; z puszeki kościelnej № 2 rb. 3; Wacław Markowski rb. 3; pani
Kobylińska rb. 2; M. Zeminski rb. 2;
na biedne dzieci: S. K. rb. 5;
na ubogich: J. Wittyh z Wieruszowa rb. 1 kop 50. bezimiennie rb. 5;
na dom starców i nieuleczalnych: Kutnowianka rb. 3; zebrane w domu pp.
Kahlów w święta rb. 2 kop. 50;
na zbór reformowany: Ks. Semadeni z Kalisza *zamiast powinszowań nowo-
rocznych* rb. 1;
do uznania redakcji: Marja G. rb. 10;
na szwalnię: Marja G. rb. 5;
na Towarzystwo ochrony kobiet: Ks. Semadeni z Kalisza *zamiast powin-
szowań noworocznych* rb. 1.

Porządek nabożeństw

w kościele ewangelicko-augsburskim Warszawskim:

- Dnia 16 stycznia, nabożeństwo w *kaplicy cmentarnej* w języku niemieckim
o godz. 4 po południu ks. djakon Loth.
Dnia 17 stycznia, w *II niedzielę po Epifanii* (tekst: Efez. 5, 22—27): na-
bożeństwo w języku niemieckim o godz. 9½ rano ks. pastor Ma-
chleid; nabożeństwo w języku polskim o godz. 11½ rano ks. pa-
stor Bursche; po południu nabożeństwa dla dzieci od godz. 3—4½.
Dnia 22 stycznia: komunja Ś-ta w języku niemieckim o godz. 9 rano.
Dnia 24 stycznia: w *III niedzielę po Epifanii* (tekst: Efez. 6, 5—9): nabo-
żeństwo w języku niemieckim o godz. 9½ rano ks. pastor Bur-
sche; nabożeństwo w języku polskim o godz. 11½ rano ks. pastor
Machleid; po południu nabożeństwa dla dzieci od godz. 3—4½.
Dnia 29 stycznia: komunja Ś-ta w języku niemieckim o godz. 9 rano.
Dnia 30 stycznia, nabożeństwo w *kaplicy cmentarnej* w języku polskim
o godz. 4 po południu ks. djakon Loth.
Dnia 31 stycznia, w niedzielę *Septuagesimæ* (tekst: Kol. 2, 1—7): nabożeń-
stwo w języku niemieckim o godz. 9½ rano ks. pastor Mach-
leid; nabożeństwo w języku polskim o godz. 11½ rano ks. pastor
Bursche; po południu nabożeństwa dla dzieci od godz. 3—4½.
Dnia 5 lutego: komunja Ś-ta w języku polskim o godz. 9 rano.
Dnia 7 lutego, w niedzielę *Sexagesimæ* (tekst: Żyd. 2, 10—18): nabożeństwo
w języku niemieckim o godz. 9½ rano ks. pastor Bursche; na-
bożeństwo w języku polskim o godz. 11½ rano ks. pastor Ma-
chleid; po południu nabożeństwa dla dzieci od godz. 3—4½.
Dnia 12 lutego: komunja Ś-ta w języku niemieckim o godz. 9 rano.
Dnia 13 lutego: nabożeństwo w *kaplicy cmentarnej* w języku niemieckim
o godz. 4 po południu ks. djakon Loth.

Dnia 14 lutego, w niedzielę *Estomihi* (tekst: Zyd. 5, 7—9): nabożeństwo w języku niemieckim o godz. 9½ rano ks. pastor Machleid; nabożeństwo w języku polskim o godz. 11½ rano ks. pastor Bursche; po południu nabożeństwa dla dzieci o godz. 3—4½.

Dnia 17 lutego, w dniu *Pokuty*: nabożeństwo w języku niemieckim o godz. 9½ rano ks. pastor Machleid; nabożeństwo w języku polskim o godz. 11½ rano ks. pastor Bursche.

Uwaga. Nabożeństwa główne w niedziele i święta zawsze odbywają się z komunią Ś-tą, przygotowanie zaś do niej ma miejsce na pół godziny przed rozpoczęciem się nabożeństw samych. W dniu *Pokuty* niema oddzielnego przygotowania do komunji Ś-tej.

W kościele **ewangelicko-reformowanym** Warszawskim:

Dnia 17 stycznia: nabożeństwo w języku niemieckim o godz. 10 rano ks. pastor Jelen; nabożeństwo w języku polskim o godz. 12 ks. superintendent Diehl.

Dnia 24 stycznia: nabożeństwo w języku polskim o godz. 10 rano ks. superintendent Diehl.

Dnia 31 stycznia: nabożeństwo w języku niemieckim o godz. 10 rano ks. pastor Jelen; nabożeństwo w języku polskim o godz. 12 ks. superintendent Diehl.

Dnia 7 lutego: nabożeństwo w języku polskim o godz. 10 rano ks. superintendent Diehl.

Dnia 14 lutego: nabożeństwo w języku niemieckim o godz. 10 rano ks. pastor Jelen; nabożeństwo w języku polskim o godz. 12 ks. superintendent Diehl.

Odpowiedzi redakcji.

Serdeczne „Bóg zapłać“ tym wszystkim, którzy pamiętali o nas w święta i w dniu Nowego Roku. Śród uciążliwej pracy, która jest naszym udziałem, otuchą napętnia serce nasze pewność, że tylu mamy przyjaciół i gorliwych stronników, dzielących z nami nasze smutki i nasze radości. Nie mogąc każdemu z osobna odpowiadać, czynimy to na tem miejscu, z serca dziękując za pamięć.

J. Sib. w Lublinie. Nie zgadzamy się z treścią listu sz. Pana, a prztem nie zrozumiał nas Pan dokładnie. Bynajmniej nie twierdziliśmy, że bezpłatne rozdawanie żydom Nowego Testamentu jest jedynym powodem, że ci go potem rozdzierają i rzucają w błoto. Nic nie mamy przeciwko temu, aby „darmo dawać, cośmy darmo wzięli.“ Ale należy patrzeć, komu się święte księgi daje, nie rzucać ich w tłumy, byleby się tylko poszczycić wielką ilością rozdzielonych egzemplarzy. Taki sposób nazwalismy chrześcijaństwa niegodnym.

J. Koz. w L. Nie uznajemy postu w znaczeniu katolickiem tego wyrazu. Niemniej jednak istnieją „postne potrawy.“ Sprawa to nie wyznania, lecz języka polskiego, który przez te wyrazy określa pewne gatunki potraw.

Kaliszakowi. Serdeczne dzięki.

N. N. Wiadomość „Kurjera,“ że „w Krimmitschau 1500 strejkujących robotników zapowiedziało swoje wystąpienie z kościoła ewangelickiego,“ jest niedokładna. W mieście tem (w Saksonji) już od dłuższego czasu strejkowało przeszło 8000 robotników, dochodziło nawet do walk ulicznych. Obawiając się ponownych rozruchów, policja zakazała nabożeństw gwiazdkowych po ochronkach i salach, a duchowienstwo zastosowało się do tego rozporządzenia. Robotnicy wtedy zeszli się na wiec i zagrozili, że wystąpią z ko-

ścioła naszego. W rzeczywistości nie doszło do tego i wystąpiło zaledwie 19 osób. Dla uniknięcia nieporozumienia, dodajemy, że osoby te wystąpiły nie celem zostania katolikami, lecz wogóle zerwały z kościołem chrześcijańskim i stały się bezwyznaniowcami.

E. R. Wiadomość to nieprawdziwa. Pani L., uzyskawszy zezwolenie p. ministra spraw wewnętrznych, w Petersburgu przeszła na ewangelicyzm. Sprawa jej rozwodowa toczyła się w naszym Konsystorzu warszawskim i skończyła się dla niej niepomyślnie. Najjaśniejszy Pan nie „uchylił wyroku konsystorskiego,” jak pisały gazety, lecz raczył panią L. zwolnić od kary, na którą była skazana. Wskutek tego pani L. dozwolone zostało zamążpójście. Wyszła też za mąż za pana Śl., ale ślub odbył się nie „we fa-rze w Kielcach” i nie „stułą” związano młodą parę, lecz ślub w kościele ewangelickim odbyć się musiał.

J. M. w R. Jest to sprawa nader ważna i nie omieszkamy jej przy sposobności poruszyć.

M. K. Prosimy o osobiste porozumienie się, gdyż na tem miejscu odpowiadać nie możemy.

W. K. w Betch. Za 8 egzemplarzy „Zwiastuna” wraz z przesyłką należy się rb. 16. Egzemplarz tomu drugiego Historji reformacji prześlemy.

OGŁOSZENIA.

Komitet wydawniczy synodu ewangelicko-reformowanego w Królestwie Polskiem w najbliższym czasie zamierza podjąć wydawnictwa następujące:

- 1). Historja biblijna Starego i Nowego Testamentu dla małych dzieci do lat 9-ciu.
- 2). Historja reformacji, poprzedzona krótko streszczoną historją dziejów kościoła chrześcijańskiego. Podręcznik dla młodzieży ewangelickiej, przygotowującej się do konfirmacji.
- 3). Przewodnik przy czytaniu Pisma Świętego. Poradnik dla prowadzących nabożeństwa dla dzieci, szkółki niedzielne i nabożeństwa domowe.
- 4). Objaśnienia ksiąg Nowego Testamentu przez Jana Kalwina—tłómaczenie.

Szanowni księża pastrowie lub osoby prywatne, życzące przyjąć udział w opracowaniu dziełek wzmiankowanych, zechcą łaskawie zgłosić się do W-bnego ks. pastora Jelena, przewodniczącego w komitecie (Leszno 20), celem bliższego porozumienia się co do planu i warunków pracy.

PRACOWNIA

sukien i okryć damskich

wykonywa robotę z całą sumiennoscia, z czem poleca się Sz. Publicznosci

EMILJA FRANZMANN

Marszałkowska № 143 m. 27.

GŁOS

Tygodnik Społeczno-Polityczny, Literacki i Naukowy.

Zamieszcza: 1-o wyczerpujące artykuły w kwestjach społecznych i ekonomicznych, przeglądy spraw wiejskich i prowincjonalnych, korespondencje z kraju i zagranicy; 2-o powieści, poezje, krytyki literackie i artystyczne 3-o artykuły naukowe z różnych działów wiedzy.

Dla prenumeratorów:

1) Bezpłatny dodatek książkowy,

W. Wundt. Psychologia.

2) **Encyklopedia Nauk Społecznych**

(EKONOMJA POLITYCZNA, SOCJOLOGJA, STATYSTYKA, HYGIENA, PSYCHOLOGJA i PEDAGOGIKA SPOŁECZNA).

Dla prenumeratorów **Głosu ZA PÓŁ CENY:**

rb. 8, z przesyłką rb. 10, płatne w 8-u ratach kwartalnych po rb. 1 lub rb. 1,25.

CENA ZWYCZAJNA za całość dzieła (4 tomy, 100 arkuszy) **rb. 16,**
z przesyłką **rb. 18.**

Prenumerata „Głosu” rocznie rb. 7,60, z przesyłką pocztową rb. 9; kwartalnie 1,90, z przes. rb. 2,25.

Adres redakcji i administracji „Głosu” i „Encyklopedji N. Społecznych”
Warszawa, Wysoka 3, róg Śmolnej.

Wyszedł w druku

KALENDARZ DLA EWANGELIKÓW **na rok 1904.**

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Cena **kop. 70.**

Były *urzędnik*, obecnie rekonwalescent,
poszukuje pensjonatu przy rodzinie ewangelickiej dla siebie i syna,
uczęszczającego do szkoły handlowej. Może płacić do **450 rubli.**

Wiadomość: *Leszno 20 m. 2 u p. Tomasza Tosio.*

W zakładzie introligatorskim **A. KANTORA**

Miodowa № 3 m. 40

przygotowano

znaczną ilość nowych śpiewników polskich

w oprawach od skromnych do najwykwintniejszych.

Tamże **HISTORIA REFORMACJI w POLSCE**

hr. Walerjana Krasińskiego

w ozdobnej oprawie.

Nakładem księgarni **W. Mietkego** w Warszawie wyszła książka do nabożeństwa dla ewangelików p. t.

DO BOGA

przez ks. **A. Schöneicha**, pastora w Lublinie, zawierająca rozmyślania i modlitwy poranne i wieczorne wraz z odpowiednimi pieśniami na każdy dzień tygodnia, jako też na wszystkie święta i uroczystości roku i wszelkie okoliczności. Cena :

Na papierze zwyczajniejszym bez oprawy	rb. 1
Oprawna w płótno ang. z ładnym wyciskiem	" 1 kop. 45
" " " ze złoc. brzegami.	" 1 " 90
Opr. w skórę ze złocnymi brzegami	" 2 " 20
Na papierze lepszym bez oprawy.	" 1 " 20

Oprawna ze złocnymi brzegami od 2 rb. 40 k. do 10 rub.

Za przesyłkę pocztą dolicza się 25 kop., za zaliczenie jeszcze 10 kop.

Ks. Winkler. Modlitwy dla domowego użytku. Cena brosz. kop. 50 opr. 70.

" " Katechizm religii chrześcijańskiej wyznania ewangelickiego w trzech książeczkach. Cena 45 kop.

Na gwiazdkę skład zaopatrzony został w **wielką ilość książek** obrazkowych i powieściowych dla młodzieży i dzieci.

Tamże na składzie znajdują się dwie nowe książeczki:

Aonio Paleario: O łasce Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego.

Spolszczył Ks. K. M.

Cena kop. 15, z przesyłką k. 20.—

„PODRÓŻE DO LONDYNU I AMERYKI.”

Dla tych, co chcą poznać zamorskie kraje i ich mieszkańców, opracował Ks. E. H. Schultz. Cena kop. 30; z przesyłką pocztową kop. 40.

Magazyn ubiorów męskich

LORENZA FRANZMANN

Warszawa, Marszałkowska 148.

Poleca wielki wybór materjałów krajowych i zagranicznych na ubiory męskie.

Obstalunki podług miary wykonywają się w 24 godzin.

Znaczny wybór gotowej garderoby.

Szynele i bluzy dla uczniów.

Bielizna systemu profesora Dr. Lahmanna.

Ceny umiarkowane.

Wydawca i redaktor ks. pastor J. Bursche.